

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 52. Warszawa, dnia 18 (30) Grudnia 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie . . .	„ 3 „ „	półrocznie . . .	rs. 4 k. —
kwartalnie. . .	„ 1 „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.	
miesięcznie. . .	„ „ 50	w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.	

OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, St.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

PO ROKU.

Znowu więc dobiegamy do mety, od której na nowo zacznie się wędrówka, znowu rok jeden kładziemy do skarbnicy wspomnień... Nie mówcie nigdy, że pokrywa się on mgłą zapomnienia, — nigdy... Po nad ścieżkami po których bezustannie toczy się śmiertelny krąg naszego życia, bogdajby zawsze świeciła jasna gwiazda pamięci... Wspomnienie smutnych zawodów i przykrych doświadczeń powinno być mistrzynią waszych kroków... Na takiej podstawie buducie granitowy gmach teraźniejszości; pamięć, to szkoła życia. W próbnym ogniu cierpień i bólów życiowych nie popielić lecz hartować się potrzeba... Każdy z nas błądzi, kto tylko nauczył się widzieć swoje błędy, a samo nawet poczucie się do winy, jest tylko dowodem budzącej się świadomości. Nie ten przecież, upada co błądzi, lecz ten, co z błędów powstać nie usiłuje. Życie to bowiem, kładzie w nas jedną ręką zabójcze miazmaty, od kolebki oddychamy jego zabójczą atmosferą, drugą atoli ręką wszczepiając w nas niestłumione niczem pragnienie szczęścia i podnioślejsze wymagania, pcha nas ciągle naprzód, ku światłu.... Ze starcia tak sprzecznych żywiołów wyradza się walka, w której zwyciężają wybrani, upadają słabi i którą omijają miernoty...

I społeczeństwo, ten zbiorowy człowiek, ma także swe dni wesela i bólu. I ono musi mieć zbiorową pamięć, jeżeli arkę swych losów nie chce powierzyć kapryśnej kolei, i ono winno brać naukę ze swych błędów: zarówno obecnych jak i przeszłych, jeżeli ma jakąkolwiek



Zofija z Brzozówki, autorka powieści „Szpargały.“

świadomość swych zadań i nie żyje bez celu, z dnia na dzień... Czemże zapisał się rok ubiegły w dziejowej księdze pamięci?.. Pessymistami nie jesteśmy, rozbudzające się poczucie własnych błędów jest już wielkim krokiem naprzód. Niedawno, przed paru laty ocknęliśmy się z letargu, zakipiała niewinna walka na pióra i słowa, był to radosny objaw budzącego się życia. Spory jednak wkrótce przycichły, wyrodziły się i rok 1874, stał się głuchym cmętarzem poronionych przekonań i projektów. Czyż jednak wiecznie, srebrny potok zbiorowego życia ma się albo z trzaskiem rozbijać o granitowe złomy, lub tworzyć cuchnące kałuże zastoju?.. Przykroby było gdyby tak zawsze być miało. Tak jednak rzeczywiście jest tylko dopóty, dopóki rwący ów potok zbiorowego życia nie wypłynie z pośród górskich głazów i przepaści na szerokie niwy, gdzie już toczy spokojnie swe przezrocze fale. Taka historyja wszystkich strumieni i potoków, i takie pozostanie niezłomne prawo ich biegu, choćby się ono niepodobało wielu zwolennikom szumiących kaskad powodzi... Zdaje nam się, iż dzisiejsze nasze życie zbiorowe, przebyło pierwsze zapory i że trudno go już zatrzymać w granicach biernego spokoju i burzliwego szamotania się. Dla tego też i rok 1874 nie rozpoczął ery długoletniej reakcyi, lecz pozwolił popłynąć dalej prądowi społecznego życia. Ruch umysłowy o którym dopiero mówiliśmy, poruszył kilka bardzo ważnych myśli, między któremi może najważniejszą była zasada samowiednej organicznej pracy społecznej. Myśl ta stała się ziarnem, które obecnie kiełkować zaczyna. Rok 1875 do-

rzucił kilka cegiełek do tej nowej budowy i w tem jego zasługa. Sądzimy, że żyjemy nie w czasie zobojętnienia i niemocy, ale cichej i płodnej pracy. Krzątamy się około różnych działów naszego gospodarstwa, przyglądamy się kółkom i kółeczkom naszego zbiorowego organizmu, poznajemy coraz to lepiej nasze zasoby, a właściwie uczuwamy, że mamy ich zamało; powoli zarysowywa się obraz naszej patologii i obok niej jakkolwiek w bardzo nie jasnych jeszcze zarysach, występuje obraz normalnego społecznego ustroju. Nie przesądzajmy jednak. Zrobiliśmy jeszcze bardzo mało w obec tego co zrobić powinniśmy, znamy jeszcze bardzo niedostatecznie nasze społeczne potrzeby, a nauka o społeczeństwie jest jeszcze dla nas nie odkrytą krainą, postawiliśmy jednak pierwszy krok na tej drodze i krok ten staraliśmy się tu zaznaczyć, widząc w nim główną myśl przewodnią chwili obecnej. W zakresie tej organizacyjnej pracy prasa peryjodyczna ma do spełnienia nader ważne zadanie. Jest ona bowiem z jednej strony odbiciem usposobienia i nastroju ogółu, z drugiej jednym z najgłówniejszych czynników na polu społecznej działalności. W obec położenia, jakie staraliśmy się zarysować i myśli jaka mu przewodniczy, nie trudno zauważyć, iż sprawy domu stanowią jeden z najgłówniejszych, podstawowych działów zbiorowego gospodarstwa, co pozwala nam mieć nadzieję, że i nasza praca w tym kierunku, podsycana szczerą chęcią służenia uczciwie i wytrwale tym sprawom, bezużyteczną nie będzie.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(dokończenie)

Przy wieczornej herbacie pan Józef opowiedział niektóre szczegóły z życia Daniela, powzięte z jego pośmiertnych notatek, udzielonych mu przez brata zmarłego. Były w nich i poezyje tych wieszczów bez imienia i wspomnienia, których żywot i pamiątki rozwiały się i znikły w mrocznej dobie czasu, były poezyje własne nieboszczyka, dorywczo, z potrzeby chwilowego natchnienia wylane, były sprawy dzienne z wybitnym kolorytem chwili, były zdarzenia wszystkich obchodzące, i wiele życiorysów ludzi prawdziwej zasługi, owych cichych robotników w winnicy Pańskiej, o których po śmierci nikt nie wie, prócz Boga.

Pan Józef nie miał z sobą tych notatek, ale miał pamięć wyborną, więc raz przeczytane poezyje, powtarzał nam całemi ustępami. Były to rzeczy piękne, pod względem talentu i treści. Opowiadał potem o zdarzeniach i ludziach z notatek Daniela, między innem o księdzu Józefie Fiodorowiczu a gdy go ktoś zapytał: czy nie ma tam czego o tym niedawno zmarłym oryginale?

— Jest, odpowiedział, i jego żywot, ale mniej dokładnie, dla braku materyjałów, od ręki skreślony. Daniel był uczniem Fiodorowicza w szkole Missyjonarzy w Iłukszcie, dokąd go ojciec posłał dla tego, że sam odbywał tam nauki jeszcze za Jezuitów.

Ksiądz Fiodorowicz, herbu Radwan, urodził się nad Dubissą; prosto ze szkół wstąpił do zgromadzenia KK. Missyjonarzy w Wilnie, na Górze Zbawiciela. Czas jakiś był żołnierzem, ale wrócił znów do seminaryjum; i był wysłany na profesora fizyki, do szkoły powiatowej w Krasławiu; po kilku latach pobytu, wyświęcił się w Wilnie i znowu do Iłukszty powrócił.

Fiodorowicz znał dobrze nauki przyrodzone. Słuchał ich w uniwer. wileń. pod znakomitemi profesorami: fizyki, pod Stubilewiczem; mineralogii, pod Symonowiczem; [1]) chemii, pod Śniadeckim (Jędrzejem); zoologii i botaniki, pod ks. Jundziłłem. Ze szczególnej ochoty uczęszczał na literaturę polską Słowackiego (Euzebijusza), i historyją powszechną ks. Hussarzewskiego [2]). Ze szczególnem zamiłowaniem poświęcał się zoologii i botanice. Miał u siebie nie mały zbiór krajowych owadów i zielnik nader bogaty w krajowe rośliny. Nad florą polską, lat kilkadziesiąt pracował. Pytającym go czemu jej nie daje do druku, zawsze odpowiadał: „Chleb surowy zdrowiu szkodzi, książka taka rozum zwodzi.“ Pisał też i o owadach krajowych, lecz bodaj i tego z tej samej przyczyny nie drukował. Ciekawe są jego uczone korespondencyje z profesorem wileń. uniwer. Wolfgangiem, u którego wygrał zakład w jakimś naukowym sporze, a wygranę sam mu Wolfgang przysądził z całą sumiennością, jak na uczonego męża przystało. W zakładzie stała waza ponczu, którą mieli wspólnie wypróżnić kosztem przegranego. Przegrany zapraszał Fiodorowicza do Wilna na skutek zakładu, ale nasz botanik nigdy się nie wybrał i do śmierci nie poznał osobiście swego korespondenta.

Ksiądz Józef jako uczony, podobny był benedyktynom średnich wieków, coto cały wiek pracując w zaciszu swej celi, poszli do grobu bez imienia, zostawiając zamiast podpisu na folijałach swej pracy dwa nieme wyrazy: Grzesznik pisał (Pecator scripsit).

Jako nauczyciel, odpowiadał najzupełniej znaczeniu słowa, bo nauczał nie tylko tego co uczył, ale wlewał jeszcze w uczniów miłość do nauki, dla życia, nie zaś życia, dla nauki. Myśl na owe czasy mało spotykana wszędzie.

Łagodnego charakteru, lubiący pośmiać się i pożartować z młodzieżą, tak był przez nią kochany, że jego lekcyje i wycieczki na zioła, do najmilszych wspomnień należą dla każdego, kto za jego czasów odbywał szkoły w Iłukszcie [1]).

Księdza Józefa nazywali uczniowie profesorem Takiem, od jego przysłowia: tak, widzisz asan. Zato wcale się nie gniewał, jako człowiek anielskiej łagodności, która stała się miejscowem przysłowiem. Dla tego nie chciano wierzyć że go w wojsku nazywano: Drapieżnym Józefem, gdy o tem szeroko rozpowiadał ś. p. ksiądz Jagiełłowicz, jego kiedyś dowodca i naoczny świadek, bajecznej odwagi drapieżnego Józefa.

Jednakże ksiądz Józef i gniewać się umiał, choć bracia mówili że największym jego grzechem było zdeptać robaka i wbijać owady na szpilki. Wesołą swawolę młodzi nawet lubił, byle w gniew nie przechodziła; wówczas zapytywał z uśmiechem: kto z was dziatki wątrobę od psa pożyczył niech mu ją odda, ona nie zda się dla człowieka. Gdy kto lekcyi nie umiał, powiadał mu z niewysłowioną dobro-

---

[1]) O życiu tubilewicza, Symonowicza, Niszkowskiego, Niemczewskiego, oraz ich pracach nic nie wiemy, jak i o wielu innych, bardzo głośnych w swoim czasie, profesorach wileńskiej wszechnicy. Fakt to dosyć dziwny, obojętnością dający się łatwo wytłómaczyć, ale będzież to sprawiedliwie? Słyszeliśmy o kilku (możnaż wiedzieć o wszystkich?) co nad tem już pracowali, lecz szarugami losu zwiani ze stanowiska, w codziennych trudach o chleb powszedni, nie mieli czasu ni środków na umysłowe zajęcie. Ci by jednakże powinni uderzyć się w piersi, którym i środki i okoliczności służą do zebrania materyjałów ku temu a stąpając po niezatartych śladach zapominanych mistrzów, mają jeszcze żywe podania ku pomocy.

Cóż wie ogół o takich ludziach, jak np. Stubilewicz i Symonowicz? O pierwszym wielu powtarza, że jako sławny dystrakt, powracał od drzwi własnego mieszkania wyczytując napis: „Stubilewicza tu nie ma,“ który sam kładł zawsze wychodząc, by nie stukali daremnie przychodzący do niego uczniowie. Czy Stubilewicz wykładał fizykę, czy homiletykę, może sanskryt? Nie łatwo się dowiedzieć.

O Symonowiczu, tyle tylko niesie miejscowe podanie: że całą ojcowiznę poświęcił na zebranie mineralogicznego gabinetu, jeżdżąc po Niemczech i Syberyi jedynie w tym celu; że ten zbiór 10.000 dukatów ceniony, zostawił w darze dla uniwersytetu.

Niedarowaną winą jest rodzin, co w spadku biorąc zacne imie, nie umieją cenić tej zasługi która dała to imie. Wartoby pomyśleć, dla własnego nawet interesu, że dobre imie jest gwiazdą kolebki naszej, która nasze błędy rozświeca, byśmy nie poszli w ohydę u ludzi, którym za ich cześć dla ojców naszych, płacimy ciemnotą i lenistwem.

[2]) Wiemy że Leon Borowski (prof. emer. lit. pol. w uniw. wileń.), pisał żywot tego męża, i komunikował się w tym względzie z autorem Historyki, którą: „Cieniom Tomasza Hussarzewskiego,“ poświęcił.

Borowski, mieszkając już na wsi, na skromnej dzierżawce pod Wilnem, miał pożar w domu mieszkalnym i ważną poniósł szkodę w swych książkach i rękopisach. Wiemy tylko że jego ulubiona praca, przekład Don-kiszota z oryginału, któremu lat kilkanaście poświęcił, mało został przez ogień uszkodzony. Co się stało z bijografiją Hussarzewskiego, i innemi pracami tego głębokiej nauki i cnotliwego męża, niewiadomo.

Cobądź, do najświętszych obowiązków każdego spadkobiercy ogólnej własności, należy oddać ogółowi jego spuściznę, lub ją złożyć w jakim szanownym zbiorze, gdzie zniszczenie nie łatwo dosięga.

---

[1]) Szkoła Iłuksztańska odznaczała się zawsze doborem profesorów, co w szkołach misyjonarskich, pijarskich i bazylijańskich, wcale osobliwością nie było. Kary cielesnej nieznano tu prawie. Wprawdzie istniała poniekąd, lecz bardziej w tradycyi; rzadko naocznie dała się widzieć, i to u tak nazwanych minimusów, to jest: w klasie pierwszej i drugiej.

Przy takich warunkach moralnych, przy taniości życia z drugiej strony, łatwo było uczyć się biednej młodzi. W konwikcie np. kosztowało całkowite na rok utrzymanie ucznia z korepetycyją 97 rs. 50 k., oprócz książek i odzienia. Na stancyjach miasteczkowych, od 30 do 60 rubli najwyżej, ze stołem, opałem, światłem, opraniem i korepetycyją.

Nauczyciele prywatni, dyrektorami zwani, mieli całe utrzymanie darmo u gospodyń utrzymujących stancyje dla studentów, jedynie dla zachęcenia ich do siebie. Dyrektorom, rodzice lub krewni uczniów odwdzięczali się jak mogli i nie jeden uzbierał sobie niebawem wystarczającą sumkę na kilkuletni pobyt w uniwersytecie. Najbiedniejsi płacili 9 rubli za całoroczne mieszkanie z opałem, światłem i opraniem. Każdemu z takich biedaków podwozili lub nadsyłali z domu rodzice, krewni, przyjaciele, sąsiedzi lub znajomi, to wędlinki, to kaszy, to miarę ziemniaków, to żytka lub pszeniczki w ziarnie. I to wszystko oddawało się dobrej gosposi bez rachunku, a ona karmiła wszystkich u wspólnego stołu razem z dyrektorem, który wszystkich jednako uczył i dozorował.

O złych obyczajach uczniów w tej szkole, nikt tutaj nie słyszał; do największych występków, między minimusami należało danie wzajemnego guza śnieżką ze złości; między starszemi, sprowadzenie sekretne miodku, gdy śpi pan dyrektor. Kto miał czem, zapłacił odjeżdżając; kto niemiał, to go nikt nie zatrzymał, ani żądał kartki lub poręki, czy to w stancyi czy w kramach był co winien. Odwiózł gdy powrócił, odesłał gdy został na miejscu lub udał się gdzieindziej, czasem w pół roku, czasem w rok, czasem we dwa lata, ale odesłał, a o zginionym długu nie było i wieści. W Iłukszcie byli profesorami znani kaznodzieje i uczeni Ks. ks. Pol, Kaliński. Do uczniów szkoły Iłuksztańskiej należał sławny cnotą i nauką biskup wileński J. B. Kłągiewicz, J. Strumiłło, autor Ogrodów Północnych.

isce puer latinam, ego te faciam monie," mówił nasz wielki Stefan. Albo: aj chłopcze, że: „Wszystkie grzechy yć przebaczone; oprócz grzechów przeichowi Świętemu." Lecz brońże Boże, mylił się w pisowni, lub w mowie ze ka, przedostatnią głoskę przeciągnął. dz Józef wpadał w zapalczywość, i rzekł ędko, bez swego już przysłowia: źle! źle! źle! Za chwilę znowu wracał do siebie i zwyczajnym tonem dodawał: Tak, widzisz asan, kto jakiej rzeczy nie umie, może jest do niej niezdolny, ale umieć swą mowę doskonale, to już do poczciwości należy. W gramatyce księdza Onufrego, znajdziesz chłopcze wyraźnie: „Różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową." Tak, widzisz asan, mnie raz, za częste w mowie omyłki, kazał ojciec cały tydzień chodzić na czworakach, jak zwierzęciu, póki po ludzku mówić nie zacznę. Tak, widzisz asan, miałem wtedy lat dziesięć; przechodziwszy cały tydzień po psiemu, jakem powstał na dwie nogi, jużem się nigdy nie omylił. Poproś chłopcze swego dyrektora, niech ci zada to samo lekarstwo. Tak, widzisz asan, ja ręczę za skutek...

Gdy wyszła pisownia deputacyi Tow. przyj. nauk (1830 r.), ksiądz Józef napisał zaraz długi list do Mrozińskiego, cały pytaniami zapełniony. Skoro odpowiedź otrzymał, wnet przyjął nową pisownię, i wszystkich jej uczył, darząc każdego ktoby chciał, przepisanym jej egzemplarzem.

Ksiądz Józef nie przyjmował nigdy żadnego dostojeństwa w światłem zgromadzeniu, które umiało cenić jego zasługi. Księdzu wizytatorowi Zarzeckiemu, który mu proponował urząd starszego w Krasławiu, lub emerytalną sinekurę w Wilnie, odpowiedział: Tak, widzisz asan, tam niewygodnie, tam nie ma lipy pod oknem i kwaśnego piwa. Bo trzeba wiedzieć że i ksiądz Józef miał swoje słabości: lubił niepomału tabaczkę, kwaśne mleko i lekkie piwko, ale kwaśne koniecznie. Jadł co mu podano, z równym apetytem; trunków nie używał do śmierci.

Ksiądz Józef na ambonie, był katechistą dziwnego uroku. Wymowa niezbyt płynna, czasem nawet jąkliwa, lecz to wszystko zlewało się w tak cudną harmonią z jego postacią łagodnej powagi, z tym wyrazem czystej kochającej duszy, z tą ewangieliczną prostotą gestu i słowa, że zdawało się widziałeś w nim owego apostoła, co porzucił swe siatki i tu przyszedł prowadzić rzesze do Chrystusa.

W życiu skromny, surowych obyczajów, był wyrozumiałym dla drugich tak dalece, że o złych ludziach, jak sam mawiał, wie tylko z książek i od świata; lecz złego człowieka nigdy jeszcze nie widział. Z pomiędzy wielu, przytoczymy jedno zdarzenie na dowód tej wiary w ludzi księdza Józefa.

Dnia pewnego dzwonek klasztorny wezwał braci o południu na obiad do refektarza, jak zwykle. Gdy milczący obiad, przy czytaniu głośnem żywotów świętych, już się zakończył, bracia wstali od stołu; po krótkiej modlitwie, zaczęła się ożywiona rozmowa o świeżem zdarzeniu tej nocy. Okradziono bowiem księdza prokuratora w jego celi. Złodziej uniósł ze sto złotych w leżącej na stole sakiewce, ser i kawał szynki z talerza, postaw sukna i sztukę płótna.

Ksiądz Józef nie mieszał się swoim zwyczajem, do ogólnej rozmowy i czytał najspokojniej wyjętą z kieszeni książkę, usiadłszy pod oknem. Po rozmaitych radach i domysłach, żartowano nakoniec z twardego snu otyłego prokuratora, a ktoś zapytał:

— Cóż ty na to księże Józefie?

— Tak, widzisz asan, ja go sam posłałem, odpowiedział najzimniej.

— Kogo? Złodzieja? Zawołano chórem.

— Tak, widzisz asan, za co złodzieja? Biedny chudopachołek, może on przed Bogiem lepszy od nas?

— Jakże to było? zapytano, biorąc się za boki od śmiechu, a ksiądz Józef mówił najobojętniej jednotonnym głosem:

— Tak, widzisz asan, wszedł on do mojej celi i gramoli po stoliku. Sen mam jak wiadomo lekki. Bój się Boga połamiesz mi narzędzia, tu nic nie ma, mówię mu—Idź na górę do księdza prokuratora Racewicza, pierwsza cela na prawo. Tak, widzisz asan, no i poszedł sobie.

Bracia parsknęli homerycznym śmiechem, a ksiądz Józef nie zmieniwszy ni twarzy ni postawy, czytał dalej.

— Powiedz księże Józefie, czyliż dobry człowiek chodzi w nocy po jałmużnę? zapytał śmiejąc się ksiądz superior Smołko.

— Tak, widzisz asan, może we dnie się wstydzi? Odpowiedział najnaturalniej, nieodrywając oczu od książki.

— Możnaż temu wierzyć i powtórzyć to jako fakt? zapytała śmiejąc się pani Senadworska.

— Fakt niezawodny, może być śmiało drukowany. Wiem to nawet od samego siebie, bom wtenczas był konwiktorem razem z Danielem, i byliśmy razem w refektarzu w czasie całej tej sceny.

Pewnych wakacyj, ksiądz Józef wybrał się w półdrabku klasztornym na herboryzacyją i zajechał, aż do Łyskowa (powiat wołkowyski). Za powrotem, gdy go opsypano pytaniami: co widział, co robił, co przywiózł, czy miał kwaśne piwo po drodze?

— Widziałem w Łyskowie grób Karpińskiego, w Wołpie, odprawiłem mszę świętą za Gosiewskiego duszę, rzekł i poszedł do swych zatrudnień.

Ksiądz Józef długo jeszcze, choć zaprzestał uczyć, o zwykłych godzinach chodził codzień na lekcyje, i wracał wzdychając z pochyloną głową. Na lat kilka przed śmiercią, gdy mu już wzrok osłabł, zajął się robieniem barometrów i szuwaksu, sprzedając je za cenę materyjału bez policzenia pracy.

Do końca życia nic go nigdy nie zabolało: wyłysiał tylko zupełnie, wzrok i słuch miał przytępiony. Łagodność charakteru nie opuściła go do ostatka, i nie miał żadnego kaprysu, zwykłego starcom, zajętym tylko sobą. Umysł mocny i serce młode zachował do skonu, interesując się żywo tem wszystkiem co się działo do koła lub dalej na świecie.

Po krótkiej słabości, umarł spokojnie, prawie stoletni, 1860 roku, w Iłukszcie, gdzie przeżył blisko pół wieku.

Po księdzu Józefie zostało parę wytartych sukien, kilka cerowanych koszul, książki, gabinet i rękopisy.

Jaki los spotkał jego całowieczne prace, tego nie wiemy.

Na tem pan Józef skończył swe opowiadanie i pożegnawszy przyjaciół powędrował dalej. Na tem i szpargały do czasu umilkły, nim się dadzą wynaleść dalsze ich karty. A ludzkie dzieje płyną z trudem i znojem, dosługiwać się jutra dla przyszłych pokoleń; a mądrość boża i dobra wola ludzka, przędzie wątek wszystkich wieków.

GAWĘDY HIGIJENICZNE I LEKARSKIE.

XIX.

O obawie przygotowania testamentów i naukowem oznaczeniu terminu śmierci.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Przygotowanie *testamentu* zwlekają nie tylko osoby, które kierując się niedorzecznym przesądem, mniemają, że właśnie przez dopełnienie tej formalności sprowadzą sobie śmierć przedwczesną, lecz i takie, co mimo poważnej choroby, spodziewają się, iż zdołają jeszcze w porę wydać swe ostatnie rozporządzenia. A tymczasem, człowiek może umrzeć w każdej chwili (w skutek wewnętrznych lub zewnętrznych przyczyn), i każda, napozór zupełnie lekka słabość, wbrew naszym i lekarza oczekiwaniom, może zakończyć się śmiercią.

Tak więc, sama już niepewność dnia i godziny zgonu, zarówno jak wzgląd na dobro bliskich naszemu sercu osób, których los, na wypadek własnej śmierci, pragniemy zabezpieczyć, powinny nas skłonić do wczesnego spisania ostatniej woli, jeśli tylko posiadamy jakikolwiek majątek.

Ileż to razy zdarza się, że ludzie bogaci, których śmierci z upragnieniem oczekują niegodni spadkobiercy, pozostawiają w nędzy swych najlepszych, poświęcających dla nich przez całe lata swą spokojność i zdrowie, przyjaciół, jedynie dla tego, że owi bogacze nie postarali się zawczasu zrobić odpowiedniego testamentu. Że podobnie niesumienni i niewdzięczni ludzie, nie warci są nawet wspomnienia po śmierci, o tem nie ma co mówić.

Wiele też osób, pozbawiając się dobrowolnie wszelkich wygód i przyjemności za życia, zbiera pieniądze wyłącznie dla tego, aby one po ich śmierci mogły być użyte na założenie jakiejś filantropijnej instytucyi; z obawy jednak przyspieszenia sobie zgonu, przez sporządzenie stosownego testamentu, osoby te odkładają pomienioną formalność do ostatniej chwili: a gdy śmierć przyjdzie potem niespodzianie, albo jest poprzedzona utratą przytomności umysłu, nie mają już sposobności do wynurzenia swej ostatniej woli. Giną więc szlachetne i długo pieszczone zamiary, chybia swego celu majątek gromadzony nieraz z takim mozołem i zaparciem się, przechodząc najczęściej do rąk marnotrawnych spadkobierców, a imię mogące być uwiecznionem w potomności, zaciera się wkrótce bez śladu!

Lecz nie dość jest przygotować zawczasu testament, potrzeba jeszcze i to koniecznie, aby on był zredagowany zgodnie z przepisami obowiązującego prawa i zachowany do chwili naszej śmierci w rękach osób, zasługujących na zupełne zaufanie. Dopełnienie bowiem pierwszego z tych warunków, uwalnia od wątpliwości, mogących powstać później przy tłómaczeniu naszej ostatniej woli; drugi znów daje pewność, że wola ta będzie ujawnioną i wykonaną należycie, w oznaczonym terminie. Rzeczonym warunkom najlepiej czyni zadość, zeznanie testamentu urzędowne, przed właściwym rejentem. Kto powierza swój testament w ręce osób prywatnych, lub zachowuje takowy w swem biurku, czy też w innej skrytce, ten ryzykuje bardzo przyszłość swych zapisobierców, gdyż pominąwszy przypadkowe zatracenie zostających w podobnem zachowaniu testamentów, bywają one nie rzadko umyślnie niszczone, zwłaszcza, jeśli rzecz idzie o małoletnich spadkobierców.

Przejdźmy teraz do drugiego z postawionych sobie przez nas zadań, mianowicie do *naukowego oznaczenia terminu śmierci*, rozumiejąc pod tym tytułem wskazanie naprzód chwili, w której przy danej chorobie, u osoby nią dotkniętej, powinna koniecznie śmierć nastąpić. Jest to właściwie śmierć tego rodzaju, którą już powinno było umrzeć wielu takich pacyjentów, co dotychczas w pełnym rozwoju sił i zdrowia, bawią się w najlepsze na tej ziemi. Jeden nawet z podobnych pacyjentów odgrywa rolę w pewnej, znanej anegdocie, gdzie lekarz pragnąc uniknąć na balu niemiłej dla siebie rozmowy, odzywa się do swego pacyjenta w te słowa: „Łaskawy panie! dla mnie już dawno umarłeś pan pod względem naukowym“... Poszło to zaś stąd, że lekarz ten przed kilku miesiącami nie wahał się naznaczyć rzeczonemu człowiekowi, podówczas ciężko choremu, tylko parę godzin życia. Co za okropna nieświadomość! przepowiadać choremu napewno termin śmierci, i co za niegodziwa potwarz, przypuszczać, że wykształcony lekarz, odważy się wyznać w oczy pacyjentowi, że mu jedynie tyle a tyle pozostało czasu do życia, bez względu na całą nieludzkość, na całe grubijaństwo takiego wyznania! Tylko szalbierze frymarczący zdrowiem i życiem ludzkiem, tylko niedowarzeni i zarozumiali lekarze, dla nadania sobie czczej powagi, mogą rozrzucać w około siebie śmiertelne wyroki; doświadczony zaś lekarz wie, że w większej części spraw chorobowych, kiedy śmierć napozór stoi już u łoża chorego, jeszcze jest możebnem, jeśli nie wyleczenie, to przynajmniej zupełnie nieograniczone przedłużenie życia. Tysiące przykładów potwierdzają rzeczywistość tego faktu; zanim jednak niektóre z nich przytoczymy, wypada nam nadmienić, że nawet chorzy, o wyleczeniu których już zwątpili najsłynniejsi lekarze, bardzo często przychodzą do zdrowia pod opieką szalbierzy i homeopatów, dla tego mianowicie, że lecznicza siła przyrody może sama, bez względu na używane środki, zupełnie usunąć lub uczynić nieszkodliwemi, nie dające się napozór wyleczyć sprawy chorobowe. Lecz rozumie się, iż szalbierz lub homeopata, będzie się starał wyzyskać podobnie szczęśliwy obrót rzeczy, i przypisze go nie owej przyrodzonej sile, lecz swej osobistej genijalności i zaleconym środeczkom.

Być *sparaliżowanym*, rzecz zaiste bardzo nieprzyjemna, a jednak, iluż to ludzi, dotkniętych paraliżem (bezwładem), i zostających w ciągu całych dni bez przytomności, wraca znów po upływie kilku tygodni do zdrowia, choć nawet nie puszczono im wcale krwi (w paraliżu mózgowym czyli apopleksyi). W ogóle *przy wszystkich chorobach rozstrajających czynność mózgu* i charakteryzujących się: bólem głowy, utratą przytomności, zamieszaniem w sferze zmysłów, majaczeniem, drgawkami i osłabieniem, nigdy nie należy tracić nadziei wyzdrowienia, szczególniej odnośnie do dzieci. Jeśli lekarze mogą się omylić przy wielu cierpieniach co do istoty, przebiegu i zejścia chorób, to najczęściej zdarza się to przy cierpieniach mózgu. Stąd wynika, że napotykane tak często *rozmiękczenie mózgu*, prędzej znajduje się w wyobraźni lekarzy, aniżeli w mózgu pacyjentów. A ileż to dzieci, przy tak zwanych *konwulsyjach* (drgawkach), nie cierpi bynajmniej na zapalenie mózgu, chociaż przeciw temu ostatniemu nie żałują pijawek i kalomelu!...

Gorączka nerwowa czyli *tyfus*, podczas którego chory przez całe dnie a nawet tygodnie leży zupełnie bezprzytomnym, przyprowadza go nareszcie do takiego stanu, w którym na swoje szczęście, nie może już wcale połykać lekarstw, i wyciągnąwszy się na łożu, z niebijącym prawie pulsem, ledwo dysząc, zdaje się oczekiwać śmierci. Lecz mimo to, podobnie chory bynajmniej nie umiera, nawet wtedy, gdy tyfus połączony bywa jeszcze z zapaleniem płuc i odleżeniem. W takim to razie, lekarz myśli jak Mefistofeles: „und lässt's am Ende gehen, wie's Gott gefällt“ i nareszcie pozostawia wszystko woli Boskiej. W większej części wypadków byłoby daleko lepiej, gdyby lekarze tak myśleli, nie przy końcu lecz na początku choroby.

Przy *suchotach płucnych*, kiedy już przepadła dość znaczna część płuc, i blady, plujący krwią pacyjent stał się podobnym do szkieletu, stojąc, jak to mówią, jedną nogą w grobie, cierpienie może się nagle powstrzymać (bez użycia wielorybiego lub psiego tłuszczu, wód salzbruńskich czy emskich, gimnastyki szwedzkiej i in.), a w zdrowiu chorego nastąpić może taka zmiana, że chociaż nie opuszczą go niektóre dolegliwości, mianowicie: krótki oddech i kaszel od czasu do czasu, jednak odzyska pełność ciała oraz wesoły humor, i długo jeszcze długo żyć będzie, przyśpiewując sobie, a przytem otrzyma nadto tę korzyść, że wiele innych wpływów chorobotwórczych przestanie być dlań szkodliwemi.

Chorzy na *wodną puchlinę*, gotowi utonąć w swej własnej (wewnętrznej, płucnej) wodzie, niekiedy wydzielają nagle ze siebie, bez użycia żadnych lekarstw, za pośrednictwem nerek i skóry (w postaci moczu i potu), tyle wody, że znów przychodzą do normalnego stanu, i bez względu na chorobę, której puchlina była tylko objawem, żyją jeszcze spokojnie przez czas długi. Nabrzmiałych więc w skutek puchliny wodnej nóg, nie należy koniecznie uważać za „sandały do podróży na tamten świat.“

Przy różnych *zapaleniach*, zw... zapaleniach ważnych narzędzi (... serca, płuc, mózgu, nawet posia... krew i przezorny lekarz poczyt... wienie chorego narzędzia, z powo... go rozszerzenia i natężenia chor... za niemożebne; a tymczasem, przy... nie rzadko i tutaj usunąć zapalenie ... stępstwa tegoż, albo przynajmniej uczyni... na pewien czas nieszkodliwem.

Suchoty rdzenia kręgowego (lecz prawdziwe, nie zaś te, jakiemi niekiedy młodzi ludzie dręczą siebie i lekarzy, czując z wyrzutami sumienia ból w krzyżu i osłabienie w nogach) przechodzą również często same, nawet i wtedy, gdy przy połowicznem bezwładzie (paraliżu) nóg, oddawanie moczu i kału, znajduje w zupełnem nieporządku. Niech przeto chorzy na owe suchoty nie tracą nadziei wzmocnienia swych nóg i całego ciała, choćby lekarze oczekiwali dla nich pomocy jedynie od wód gasteinskich.

Gdyby lekarz chciał dokładnie oznaczyć chwilę śmierci, nawet *przy najokropniejszych uszkodzeniach ciała*, to i wtedy, przepowiednia jego byłaby często mylną: niepodobna bowiem prawie uwierzyć, jakie to człowiek zdolny nieraz wytrzymać cierpienia. Najlepiej przekonywają o tem wypadki na polu bitwy. Kule armatnie odrywają ręce i nogi, piersi i brzuch zostają podziurawione bagnetem lub karabinowemi kulami, czaszka i twarz bywa posiekaną, jelita wychodzą na wierzch i t. d., a mimo to, ranny przychodzi nierzadko do zdrowia, chociaż odtąd staje się niezdolnym do pracy na kawałek codziennego chleba.

Z powyższego więc okazuje się, że lekarz nigdy nie jest w stanie oznaczyć, choćby w przybliżeniu dokładnie, terminu śmierci, czy to osoby chorej, czy też ranionej.

BLIŹNIĘTA

powieść tłómaczona z francuskiego

przez

A. O.

(dalszy ciąg).

II.

Zamieszczamy tu dosłowną kopiją testamentu wuja Yvona.

„Dziś, dnia 15 sierpnia 18.. ja Piotr Paweł Jan Yvon, zdrów na ciele i umyśle, i opatrzony Świętemi Sakramentami, sporządziłem testament, jako akt mojej ostatniej woli.

„Przewidując wypadki, jakim podległe jest życie ludzkie i pragnąc w razie mej śmierci, aby majątek mój bez sporu objęli moi spadkobiercy, podzieliłem go na dwie części, o ile można zupełnie równe, a mianowicie na:

„1° Summę pięćdziesiąt tysięcy franków, umieszczoną na procent staraniem p. Aubryet, notaryjusza w Paryżu.

„2° Dom w Auray, łąki, grunt orny i nieruchomość wszelkiego rodzaju, jakto: łodzie, sieci, przybory różne łowieckie, broń, meble i t. d. wszystko oszacowane na pięćdziesiąt tysięcy franków.

„Zapisuję cały powyższy majątek moim

siostrzeńcom Piotrowi i Pawłowi Debay, z zastrzeżeniem by każdy z nich wybrał sobie, bądź dobrowolnie, bądź losem jednę z dwóch części powyżej oznaczonych, i to bez żadnego odniesienia się do sądów.

„W razie gdybym umarł przed moją siostrą panią Debay i jej mężem, a zacnym moim szwagrem, powierzam moim spadkobiercom pieczę o ich starości, i jeżeli zechcą iść za moim przykładem, to im na niczem zbywać nie powinno.“

Z podziałem tego majątku nie było wiele zachodu i obeszło się bez ciągnienia losów, albowiem Paweł wybrał pieniądze a Piotr resztę. Paweł mówił: Na co mi się zdały łodzie biednego wuja? Czyby mi się chciało je czyścić lub łowić ostrygi albo sardynki? Na samą myśl o tem ziewać mi się zachciewa. W krótkim czasie dowiedzielibyście się, żem umarł z tęsknoty za Paryżem. A gdyby przypadkiem to nienastąpiło, toby w niedługim czasie cały majątek zmarniał w moich rękach. Alboż ja umiem wynajmować grunta, wydzierżawiać połów, lub umawiać się z rybakami? Zdarliby mnie do koszuli. Niech mi więc Piotr pozostawi owe pięćdziesiąt tysięcy franków, umieszczę ich na pewnej hipotece, która mi przyniesie sto za sto. Takie to interesa zamyślam robić.

— Pozostawiam ci do woli, odrzekł Piotr, w każdym razie, nie byłbyś zmuszony mieszkać w Auray, gdyż rodzice nasi, dzięki Bogu są zdrowi, a zatem mogą się zająć gospodarstwem i zarządem wszystkiego. Ale powiedz no, jaka to jest owa cudowna hipoteka, na której masz zamiar umieścić swój kapitał?

— Ulokuję go na mojej głowie. Posłuchaj tylko. Ze wszystkich dróg prowadzących najprędzej młodego człowieka do majątku, nie jest ani handel, przemysł, sztuka, medycyna, prawo, ani nawet spekulacyja; zgadnijże co?

— Ha! pozostaje jeszcze rabunek na rozstajnych drogach a i ten z dniem każdym staje się trudniejszym, nie ma bowiem sposobu zatrzymania lokomotywy.

— Pominąłeś małżeństwo. Przez małżeństwo powstały najznakomitsze domy europejskie. Nie przypominasz sobie historyi hrabiów habsburskich? Siedemset lat temu, a byli nieco bogatszemi odemnie; kojarząc się z bogatemi dziedziczkami założyli wreszcie cesarstwo austryjackie, jedno z państw najpotężniejszych. Żenię się z bogatą dziedziczką...

— A z którą?

— Jeszcze nie wiem, nie znam ją, ale ją znajdę.

— Czy z pomocą twych pięćdziesięciu tysięcy franków?

— Gdybym z tak małą sumką chciał probować szczęścia, jestem pewny, żeby mnie wyszydziły wszystkie milijony. Co najwięcej znalazłbym córkę jakiego kramarza, albo domniemaną spadkobierczynię po jakim drobnym przemysłowcu, a i tych jeszczebym nie zadowolił, nie poznaliby się bowiem, ani na mojem dowcipie, ani na mojem wychowaniu, które jak sobie pochlebiam nie jest pospolitem.

— Tak to rzeczy pojmujesz...

— Święta, do której wzdycham, będzie uważała tylko na moję wartość osobistą, pomijając mój stan finansowy. Zobaczysz, mój kochany, niechno pokażę się tylko w pięknem i modnem ubraniu, to żadna panna wyższego tonu, o nic więcej nie zapyta.

Poczem Paweł oświadczył, że talary poczciwego wuja posłużą mu do utorowania drogi, wiodącej do wielkiego świata. Doświadczenie nabyte ciągłem czytaniem romansów, wykazało mu jak na dłoni, że nic tak nie popłaca u kobiet, jak piękne manijery i doborowa toaleta; umyślił więc za pomocą tych środków zawrzeć pożądane małżeństwo.

— Plan mój jest taki. Przez rok żyć będę tak- jakbym miał pięćdziesiąt tysięcy dochodu, i chyba dyjabeł by się tu wmieszał, żeby się we mnie nie zakochała jaka posażna panna.

— Nieszczęśliwy, zrujnujesz się...

— Bynajmniej; umieszczę tylko mój kapitał na sto od sta.

Piotr nie chciał się już sprzeciwiać bratu. W samej rzeczy, mógł być spokojnym; pieniądze dopiero w czerwcu były wypłacalne.

Spadkobiercy wuja Yvona w niczem nie zmienili sposobu swojego życia, gdyż stan ich finansowy z tym rokiem nie uległ jeszcze żadnej zmianie. Tak samo, jak poprzednio dostawali od notaryjusza po dwieście franków miesięcznie.

Żadne również zmiany nie zaszły w losie innych naszych znajomych. Petit-Gris zawsze ambitny i trochę przebiegły, otrzymawszy dla żony upragnioną posadę, instalował w izbie drugą z rzędu miotłę z żelaznemi skówkami.

Było to jedyne ważniejsze zdarzenie podczas całej zimy.

W miesiącu maju pani Debay napisała do synów list, w którym się uskarżała, iż wraz z mężem nie może podołać gospodarstwu; wzywała jednego z synów, aby przyjechał dopomódz ojcu. Przeczytawszy to Piotr, a nadto zważywszy, iż ojciec pomimo sześćdziesięciu lat zbyt gorliwie oddaje się pracy, postanowił na jakie sześć miesięcy pojechać do domu.

— Bo i cóż cię wstrzymuje, zapytałem.

— Najprzód, korepetycyje.

— Odstąp je któremu z naszych kolegów. Wskażę ci dziesięciu więcej potrzebujących od ciebie.

— Mogęż Pawła tak samego zostawić?

— Bądź spokojny o niego; jeśli ma głupstwa robić, to obecność twoja bynajmniej go nie wstrzyma.

— Wreszcie....

— Cóż takiego?

— Te panie....

— Przecież nie pierwszy raz je opuszczasz. Możesz powierzyć mi ich losy, a z pewnością na niczem zbywać im nie będzie.

— Ale mnie na wielu rzeczach zbywać będzie.

— Naprzykład?

— Najprzód na ich towarzystwie...

— Tak, to co innego. Niceś mi dotąd nie mówił, a tu miłość jak oliwa na wierzch wychodzi.

Biedny chłopiec spojrzał na mnie pomieszanym wzrokiem. Dopiero teraz otworzyły mu się oczy, poznał, że kocha pannę Bourgarde. Wyspowiadał mi się pomału ze swych naj-



Rzeź niewiniątek w Betleem (z obrazu L. Cognieta).

głębiej ukrywanych tajemnic z których przekonałem się, że kochał namiętnie i stale. Jak żyję nie widziałem człowieka bardziej zmieszanego i zawstydzonego. Usiłowałem mu dodać odwagi i pogodzić z samym sobą, lecz gdym go zapytał, czy pozyskał wzajemność, znów pokraśniał i zmieszał się, że aż żal mi go było. Zacząłem mu przekładać, że miłość szybko się rozpłomienia, podniecana tak szlachetnemi i szczeremi uczuciami. Nic to wszakże nie pomogło, ani chciał słuchać a wreszcie gdym zaczął go przekonywać, uważał się za wyjątek od ogólnego prawidła. Pannę Bourgarde wynosił pod niebiosa, widział w niej zbiór wszelkich doskonałości, siebie zaś stawiał jak najniżej.

Usiłowałem podnieść go we własnych oczach, odkrywając mu skarby, jakie posiadał w swem zacnem i tkliwem sercu. Na wszystko miał gotową odpowiedź, wskazując na swoję twarz, z tak rozrzewniającą rezygnacyją, że od łez wstrzymać się nie mogłem.

— Jakże rozmawiacie, gdy sami zostaniecie?

— Nigdy mi się nie zdarzyło być z nią sam na sam; gdy jesteśmy razem, nigdy żywszej rozmowy nie prowadzimy. Nie czekana mnie, ale też i nie unika, gdy przyjdę. Muszę jednak sprawiać jej pewien wstręt, gdyż widok mój nie sprawia jej wielkiej przyjemności. Kto jest tak brzydki jak ja, nie może się lepszego spodziewać losu.

I z całą naiwnością poczciwego charakteru ubolewał nad swoją biedną osobą.

Obojętność panny Bourgarde dla tak zacnego młodzieńca wydała mi się nienaturalną. Można ją sobie było tłómaczyć, albo jako zawiązek tkliwszego uczucia, albo jako pewnego rodzaju niewinną kokieteryją.

— Czy wiedzą, żeś otrzymał spadek?

— Nie.

— Mają cię więc za równie biednego, jak same?

— Gdyby też nie to, dawno już dałyby mi odprawę.

— Gdyby jednak..... ależ nie rumień się... gdyby cię pokochała, cóżbyś robił w takim razie?

— Powiedziałbym jej...

— No śmiało... nie wstydź się, jej tu nie ma, nie potrzebujesz się tak jąkać... Czybyś ją poślubił?

— Ach! gdybym tylko mógł!.... ale po co się łudzić, ja się nigdy nie ożenię.

Było to w niedzielę. Następnego czwartku odwiedziłem dawnego protegowanego na ulicy Traversine. Miałem na sobie galowy mundur ze złotym haftem, przystroiłem się w rękawiczki pożyczone od zaufanego przyjaciela.

Petit-Gris uprzedził panią Bourgarde, że jakiś pan prosi ją o chwilkę rozmowy na osobności. Ukazała się natychmiast w zwykłem domowem ubraniu, odzwierny zaś wyszedł pod pozorem kupienia węgli.

Była to kobieta, na której widoczne były ślady dawnej piękności, a i wtedy nawet pomimo wychudnienia i bladości, wydała mi się przystojną co się zowie. Włosy miała prześliczne, oczy powłóczyste, smutne, ocienione długiemi rzęsami. Brak przednich zębów czynił ją o wiele starszą niż była w istocie. Za trzymała się przedemną pomieszana, gdyż ubóstwo odejmuje odwagę.

— Pani! odezwałem się uroczyście, jestem przyjacielem Piotra Debay; kocha on twoję córkę i ma zaszczyt przezemnie upraszać cię o jej rękę!

Takiemi to byliśmy dyplomatami w szkole normalnej.

— Siadaj pan, odrzekła łagodnie.

Bynajmniej nie zdumiły ją słowa moje. ....Zdawała się ich spodziewać, gdyż wiedziała dobrze, iż Piotr kochał jej córkę, z drugiej znów strony wyznała mi z pewnym rodzajem macierzyńskiej wstydliwości, że córka oddawna przychylną była Piotrowi.

Długo się zastanawiała nad możliwością tego związku. Uważałaby się za szczęśliwą, gdyby mogła przed śmiercią zapewnić los swemu jedynemu dziecku, osłabienie bowiem swoje brała za początek nieuleczonej choroby. Niepokoiły ją tylko wątłe siły Piotra; trwożyła ją sama myśl, że Piotr zachorować może, utracić lekcyje i zostać bez żadnych środków utrzymania siebie, żony, a może i dzieci.

Mogłem ją uspokoić pod tym względem jednem słówkiem, alem nie uczynił tego, chciałem bowiem, aby to małżeństwo skojarzyło się z ową wzniosłą niebacznością ludzi biednych, co to mówią sobie: pobierzmy się najprzód, potem pomyślimy o chlebie.

Pani Bourgard dla formy tylko stawiała mi opór, w sercu swojem bowiem żywiła już dla Piotra miłość macierzyńską, będącą ostatniem żywszem uczuciem kobiety.

Przedstawiła mnie córce. Piękna Emma wystąpiła w lichym szlafroczku o wyblakłych kolorach. Nie miała ani kwiateczka, ani kołnierzyka, ani mankietów nawet. Pranie w Paryżu tak drogo kosztuje. Tem lepiej mogłem podziwiać bujne zwoje ślicznych jej blond włosów, śnieżną i kształtną szyję, a zwłaszcza drobne rączki, którychby jej pozazdrościła największa pani. Była bardzo podobną do matki. Mimowolnie przypominały mi się owe obrazy przedstawiające chylące się do upadku zwaliska, obok pysznie wznoszących się pałaców. Kibić jej nie ściśniona gorsetem, tem ponętniejszą i wdzięczniejszą mi się wydała, ale co największy mój podziw wzbudziło, to jej płeć tak delikatna i świeża, iż krew z mlekiem słabem jest porównaniem. Była to istna perła niepospolitej wartości.

Otóż niezmiernie się ucieszyła piękna perełka z ulicy Traversine, gdy się dowiedziała o celu mojego przybycia. Wśród ogólnej radości wszedł niespodzianie Piotr, który wcale nie przypuszczał się mnie tu zastać. Z początku nie chciał wierzyć swojemu szczęściu, z trudnością mogliśmy go przekonać, wtedy to dopiero była radość! Wszyscy naraz mówić zaczęli, tworząc wielki tryumfalny chór, który, wierzcie mi, nie ustępował najpiękniejszym kwartetom Beethovena.

Tymczasem po cichu wymknąłem się przez drzwi na wpół uchylone, zostawiając im zupełną swobodę w objawieniu swych uczuć, jestem bowiem pewny, że Piotr obawiając się moich przycinków, wstydziłby się płakać w mojej obecności.

Następnego czwartku wzięli ślub. Zameldowawszy się w szkole, służyłem Piotrowi za świadka, podzielając ten zaszczyt z jednym z naszych przyjaciół, młodym literatem, należącym do składu redakcyi nowo-otworzonego pisma. Dwaj inni przyjaciele Piotra, malarz i profesor byli świadkami Emmy, gdyż pani Bourgarde przerwała stosunki z dawnemi swojemi znajomemi.

Przeszliśmy plac tylko, gdyż urząd cyrkułu znajdował się wprost kościoła świętego Sulpicyjusza.

Dwa fiakry zawiozły nas wszystkich za rogatki, do Meudon, gdzie rozbiwszy nasze namioty, obiadowaliśmy w cieniu prześlicznego szwajcarskiego domku. Po nad głowami postrzegliśmy ptaszka ścielącego sobie gniazdeczko. Jedną myślą ożywieni wypiliśmy za zdrowie skrzydlatej rodziny: w obec szczęścia wszyscyśmy równi.

Kto zechce, niech mi uwierzy, gdy powiem że Piotr nie był brzydkim. Już to nie raz pierwszy zauważyłem, że powietrze wiejskie dziwnie oddziaływa na niego. Są osoby, które jedynie w salonie podobają się, są znów takie, którym wieś przysparza wdzięku i piękności. Do tych ostatnich Piotra śmiało zaliczyć można.

Oświadczył nam przy wetach, że zabiera panią Bougarde i żonę do Auray, gdzie matka oczekuje ich z otwartemi rękami. W chwilach wolnych od zajęć gospodarskich i rybołowczych, młody profesor postanowił pisać swoje doktoryzacyjne rozprawy.

— Nie wspomina się nic o dzieciach, dodał głos, który bynajmniej nie był moim.

— Gdy się dzieci dochowamy, odrzekł swobodnie pan młody, będę je uczył czytać przy ognisku domowem, choćby ich miało być dziesięcioro.

— Co do mnie, odezwał się Paweł, odkładam ślub mój do przyszłego roku, i zapraszam was wszystkich na wesele Pawła Debay, z panną X. najbogatszą dziedziczką z całego Paryża.

— Niech żyje panna X. posażna nieznajoma.

— Ale zanim ją poznam, odezwał się znów Paweł, stracę zapewne cały majątek i rozproszę wszystkie moje skarby. Gdy dowiecie się o tem, pamiętajcie, że rozsiewam złoto, które wyda stokrotne plony.

Piliśmy szampana i stawialiśmy zamki na lodzie. Piotr rzekł do Pawła:

— O niczem już nie wątpię od czasu gdy Emma uszczęśliwiła mnie swoją miłością i darem swej ręki.

Następnej przecież niedzieli Piotr nie był już tak pewnym przyszłości brata.

— Za wiele ryzykujesz, rzekł do niego, żegnając się z nim na dworcu kolei żelaznej. Gdyby Boileau nie wyszedł z mody, powtórzyłbym za nim:

„Żeglujesz po morzu zbyt obfitem w burze."

— Ba, ba, nie myślałem ja o jakimś tam Boileau, ale o Balzaku. Żegluję po morzu, obfitem w bogate dziedziczki. Wierz mi braciszku, wynajdę ją sobie, choćby jedna tylko została na całej kuli ziemskiej.

— Bądź, co bądź, nie zapominaj, że czeka cię zawsze nakrycie przy stole w Auray.

— Jedno to za mało, każ dodać drugie, gdyż przyjedziemy do was w odwiedziny, ma się rozumieć, we własnej karecie.

Petit-Gris, który znajdował się także na dworcu, rzucił na Pawła wzrokiem zadowolenia, mającym znaczyć niejako: Młodzieńcze, podoba mi się twoja ambicyja!

Paweł w najlepszym humorze wziąwszy mnie pod rękę, poprowadził na pyszny obiad któryśmy spożyli wesoło, pełni najświetniejszych nadziei.

— Losy rzucone! rzekł mi, okręta spaliłem za sobą. Wczoraj nająłem śliczne mieszkanko kawalerskie na parterze. Ugodziłem już malarza, za tydzień postaram się o tapicerów. Gdy wszystko już będzie gotowe, zaproszę cię w niedzielę na przyjacielskie śniadanie.

— Co ci też przyszło do głowy, rozpoczynać kampaniją w środku lata, kiedy *nikogo* nie ma w Paryżu.

— Bądź spokojny. Urządziwszy sobie gniazdko, wyjadę do wód Vichy, gdzie najłatwiej zawiązują się przyjacielskie stosunki. Tam spodziewam się otrzymać kilka zaproszeń na tegoroczne zimowe wieczory. Myślałem o wszystkiem i wszystko naprzód przewidziałem. Za dwa tygodnie pożegnam na zawsze tę obrzydłą dzielnicę łacińską.

— W której przecież spędziliśmy tyle chwil przyjemnych...

— Bawiło nas to bośmy nie znali nic lepszego. Jakże ci smakuje to kurczę?

— Wyborne.

— Co też mówisz?. szkaradne... Ale nie mówiłem ci jeszcze, żem zgodził kucharkę. Kawaler dobrego tonu obiaduje na mieście, ale śniadanie jeść powinien w domu. Pozostaje mi jeszcze wyszukać służącego. Czy nie mógłbyś mi kogo wskazać?

— Żałuję mocno, że za rok dopiero kończę kursa, bo gdyby nie to, chętniebym ci ofiarował moje usługi; sądząc po twojej wspaniałomyślności, hojnym byłbyś panem.

— Mój kochany, na nicbyś mi się nie przydał, gdyż nie jesteś ani dość małym, ani dość wysokim. Potrzebuję olbrzyma albo karła. Zastanawiałeś się kiedy nad liberyją? Podług mnie jest to bardzo ważna kwestyja.

— Przyznaję ci to w zupełności, dla tego też przeczytałem z Arystotelesa traktat o kapeluszach.

— Jakże ci się podoba liberyja niebieska z czerwonemi wyłogami?

— Eh! to już lepsze mundury papieskich drabantów: żółte, czerwone albo czarne, a do tego halabardy.

— Zaczynasz być nudnym. Przebiegłem myślą wszystkie kolory, i dotąd nie mogę znaleść stosownego. Czarny i to z kokardą byłby wcale niezły, ale cóż kiedy za smutny, za poważny. Orzechowy znów nadto prowincyjonalny, a co do niebieskiego, został sponiewierany przez kupiectwo. Muszę się głębiej nad tem zastanowić. Ale, ale, nie widziałeś jeszcze moich biletów wizytowych.

—Paul de Bay, i hrabioska korona! Przebaczam ci hrabiostwo: bo to nikomu nie szkodzi, ale lepiejbyś zrobił, żebyś uszanował zacne nazwisko starego ojca. Chociaż nie jestem rygorzystą, ale ten twój postępek wcale mi się nie podoba. Któż to słyszał, aby tak porządny człowiek zmieniał swoje nazwisko i to jeszcze nie w czasie karnawału. Nadto przybierając tytuł hrabioski, w bardzo delikatny sposób wyrzekasz się swojej rodziny, gdyż tylko po śmierci ojca można przybrać tytuł hrabiego jeśli takowy jest dziedzicznym.

— Już też przesadzasz! Bardzo tragicznie na wszystko spoglądasz. Mój stary uśmiałby się z całego serca, gdyby wiedział że jego nazwisko tak dowcipnie zostało przekształcone. Ten dwukropek nad *y* wydaje mi się przedziwnym pomysłem, gdyż nadaje nazwisku barwę wielce arystokratyczną. Brakuje mi tylko herbu, czy znasz się na tem?

— Niebardzo...

— Potrafisz jednak nakreślić tarczę herbową? — Franciszek, dajcie tu papieru...

— Oto masz tarczę podzieloną na dwie połowy; na pierwszej znajdują się lwy złote w czerwonem polu, a na drugiej węże złote także w czerwonem polu. Jesteś zadowolony?

— Niezmiernie, — od tej chwili składam ci hołd, jako memu suzerenowi.

— A więc feudalny hrabio, poczęstuj mnie cygarem i odprowadź do szkoły.

III.

Paweł po przepędzeniu lata w Vichy, powrócił w październiku przyprowadziwszy ze sobą pysznego karego konia i olbrzymiego lokaja, jedyne pozostałości po zmarłym na splen angliku. Oznajmił mi o swoim powrocie przez swego wspaniałego Jack'a, którego szaraczkową liberyją szczególniej podziwiałem. Guzy miał srebrne z wyrytym na nich herbem swojego pana.

Największy elegant ze wszystkich moich przyjaciół, przyjął mnie w apartamencie odznaczającym się prawdziwie męskim gustem. Nie było tam widać żadnych błyskotek, zdradzających kobiece usposobienia, nie było nawet żadnego wysłanego włosami krzesełka. Meble w pokoju jadalnym były dębowe; salon obity ciemnym atlasem, wyglądał przyzwoicie i bogato; gabinet do pracy był może nieco za surowy, powiedziałbyś, że to przybytek jakiegoś autora piszącego historyją wojen krzyżowych. W pokoju sypialnym znajdował się ogromny kobierzec, przedstawiający łaskawość Aleksandra Wielkiego, biurko z białego marmuru, pięknie dobrana biblijoteczka, dalej, cztery fotele pokryte adamaszkiem i łóżko prawdziwie kawalerskie, bo zaledwie półtora łokcia szerokości mające.

W tymże guście porozwieszane były po ścianach, mianowicie w salonie przeróżne obrazy i portrety. Były one pendzla drugorzędnych malarzy, i przedstawiały, już to polowanie, już to zwierzynę, już wreszcie naturę martwą.

W gabinecie znajdował się zbiór lasek, a wszystkie w wytwornej oprawie; w sypialnym pokoju porozwieszane były portrety przodków nabyte na licytacyi. Wszystko to razem wzięte przydawało Pawłowi wiele uroku szczególniej w oczach matek, mających córki na wydaniu.

Przywitawszy się z gospodarzem, prosiłem go o cygaro; odmówił mi bardzo grzecznie, dodając że sam nie pali; trzymał się bowiem tej zasady, że cygaro stanowiąc niejako spójnik między mężczyznami, bynajmniej nie posiada własności kojarzenia małżeństw, przeciwnie odstrasza kobiety, jak komary. Opowiedział mi całą swoję letnią wyprawę, pokazując w końcu z tryumfem, jakieś kilkadziesiąt biletów, zapraszających go na zimowe wieczory.

— Przeczytaj te nazwiska, a przekonasz się czym na próżno pracował.

Przejrzawszy je, zdziwiłem się mocno, że prawie wszystkie należą do mieszkańców osiadłych w dzielnicy kupców i cudzoziemców.

— Cóż cię spowodować mogło do tego wyboru.

— W tej dzielnicy nazwisko i tytuł mogą mi być bardzo pomocne, gdy przeciwnie na przedmieściu Ś-go Germana zaszkodziłyby mi wielce. Gdy zaanonsują hrabiego na ulicy Lafitte, pięćdziesiąt przynajmniej osób zwrócą nań uwagę, a przy ulicy l'Université nikt się ani obejrzy, gdyż tytuł hrabiego spowszedniał nawet dla lokajów. Nadto, ta stara szlachta zna się doskonale pomiędzy sobą, przewąchałaby wnet, że nie należę do ich sfery; a chociażby nie żądano odemnie dowodów legitymacyjnych, mówionoby jednak po cichu, że ich nie posiadam. A wreszcie, gdyby się przekonano, że mój tytuł hrabioski jest fałszywy, wypchniętoby mnie za drzwi. Dodaj jeszcze i to, że wielkie majątki w tym arystokratycznym świecie są bardzo rzadkie, a jeśliby się ich znalazło z jakie stokilkadziesiąt, to tak starożytne i wszystkim znane, że każdemu ich się zachciewa. Stąd też około jednej dziedziczki krąży około dwudziestu konkurentów. Nie mam więc ochoty być dwudziestym pierwszym, gdyż jak mi się zdaje nie najlepiejbym na tem wyszedł. A na Chaussée d'Antin, jakaż różnica? W salonie najlichszego bankiera ujrzymy zebranych co najmniej kilkanaście milijonowych posagów, nie znających się wzajemnie, a datujących swoje istnienie, te od wczoraj dopiero, tamte zaledwie od lat dwudziestu. Jedne przybyły wprost z Manchester, inne dopiero co wylądowały z Chandernagor albo kopalni w Mullhouse, jednem słowem jestto błyszcząca złotem siedziba bogatych przybyszów, gdzie zabierają znajomości, kochają się i żenią, a to wszystko w tak krótkim czasie, jakiby wystarczył starej hrabinie do zażycia tabaki. Tam więc wśród ludzi tak ruchliwych i czynnych, oceniać umiejących prawdziwą wartość czasu, zarzucę moje sieci w zamąconą i wzburzoną wodę.

Odczytał mi następnie ustęp z „Lilii w dolinie“ zawierający przepisy, według których zamierzył sobie postępować, dołączywszy jeszcze do nich rady Henryka de Marsay dane kawalerowi de Mauerville.

Poczem zjadłszy śniadanie, strawił przynajmniej ze dwie godziny przy toalecie, idąc za przykładem Marsayja.

Odwiedzałem go dosyć często w czasie zimy, aby się przekonać, czy postępował wytkniętą sobie drogą, i przyznać muszę, jeśliby każda praca otrzymywała zasłużoną nagrodę, to powinienby zaślubić Eugenią Grandet lub

pannę Taillefer (bohaterki romansów Balzakowskich).

Ukazywał się wszędzie we właściwych godzinach, i tak: codziennie galopował po lasku Bulońskim, nigdy nie pominął pierwszego przedstawienia w teatrze, do którego uczęszczał świat modny; udając zamiłowanie do muzyki, nie opuścił żadnej opery włoskiej. Nie odrzucał przysyłanych mu zaprosin, nie pomijał balu i nie zapominał o ceremonijalnych, a tak koniecznych wizytach. Podziwiałem jego wytrwałość. Ubiór jego nie zostawiał nic do życzenia, obuwie nosił piękne i zgrabne, a bieliznę miał cienką, śnieżnej białości. To też wstydziłem się pokazywać z nim na mieście, chociaż w niedzielę bardzo chętnie brał mnie do swojego powozu, na którym połyskiwała jego herbowa tarcza.

W świecie do którego uczęszczał, odznaczały go dwie zalety, rzadko spotykane w jednej osobie: był wybornym tancerzem i eleganckim gawędziarzem. Tańczył nadzwyczaj zgrabnie i lekko, co mu wszyscy jednomyślnie przyznawali. Panny, które z nim tańczyły były zachwycone z siebie, a po części i z niego. Matki zaś zwykle sprzyjają wielce mężczyźnie, który ich córki w tak korzystnem świetle przedstawić umie. A gdy jeszcze po skończonym walcu lub kontredansie przysiadł się do grona dojrzalszych kobiet, życzliwość ich zmieniała się prawie w uwielbienie. Za wiele miał taktu, aby występował z komplementami, najgłupsze jednak otarłszy się o jego rozum, stawały się rozsądniejsze i dowcipniejsze. Nigdy nikogo nie obmawiał, nie wytykał śmieszności i wyraźnego głupstwa, żartując ze wszystkiego, nikogo nawet nie zadrasnął, co jest rzeczą nie bardzo łatwą. Co do kwestyj politycznych z żadnemi opinijami się nie odzywał, wiedząc z góry, że mu to na nic się nie przyda w jego zamiarach. Bezustannie czuwał nad sobą, chociaż tego nie okazywał. Po kilka razy powtarzał sobie codziennie: „trzymaj się prosto, moja córko!“ O ile był ugrzecznionym z kobietami, o tyle był zimnym w stosunkach z mężczyznami, tak iż ta jego sztywność zakrawała na lekceważenie i impertynencyją. Był to nowy rodzaj przypodobania się płci pięknej, gdyż tym sposobem wydawało się, że dla niej żyje wyłącznie. Kobiety podwójną znajdują przyjemność w hołdach ludzi wyższych, dumne są prawdziwie, gdy zdołają harde głowy skłonić do swoich widoków. Okazywane Pawłowi względy nie mogły pozostać niepostrzeżone, stąd nieporozumienia i zajścia, których następstwem były trzy pojedynki. Ze wszystkich wyszedł cało, nie zrządziwszy przeciwnikom wielkiej krzywdy, gdyż najmocniej z nich raniony zaledwie pietnaście dni przeleżał w łóżku. Tem umiarkowaniem i odwagą Paweł zjednał sobie powszechny szacunek, podziwiano w nim bowiem niepospolite męztwo połączone ze wspaniałomyślnością, oszczędzającą życie przeciwnika.

Zresztą były to jedyne wybryki, których sobie nasz bohater pozwalał, innych zaś jako pociągających za sobą koszta, starannie unikał. W karty nie grał, zarówno przez oszczędność, jak ze względu na opiniją. Gdy jednak widział tego potrzebę nie unikał nawet większego wydatku: płacąc bilet na koncert lub na dobroczynną loteryją, hojną dłonią rozrzucał pieniądze, przewyższając w tem wszystkich salonowców. Nieraz wypróżniał swoję portmonetkę w woreczek kwestarki, lub wpisywał się na dwanaście dukatów w listę kwestującej damy.

Wiele wydawał dla pokazania się, a bardzo mało dla własnych przyjemności, uważając za zbyteczny wszelki wydatek uczyniony bez świadków. W tem też różnił się od swoich wzorów Rubemprego i Marsaya, którzy żyli jedynie dla użycia i roskoszy. Nie robił długów i nie miał kochanek, słowem unikał tego wszystkiego, coby go wstrzymać mogło w szalonym biegu do upragnionego celu.

Pomimo tak wyrafinowanego postępowania w ciągu pierwszych trzech zimowych miesięcy wydał 35,000 franków, nie osiągnąwszy jednak żadnego rezultatu. Być może nie był dość sprytnym i giętkim, jakoż rzeczywiście przypatrzywszy się mu bliżej, okazywał się sztywnym i za ostrym. Chciałem mu zrobić uwagę, alem zaniechał wszelkiej rady, wiedząc z góry, że za nic nie odstąpi od raz zakreślonego planu. (d. n.)



Okręt wśród burzy.

RZEŹ NIEWINIĄTEK W BETLEEM.

Treść drzeworytu zamieszczonego w dzisiejszym numerze wzięta jest ze znajomej nam smutnej historyi panowania króla Heroda nad Żydami, który dowiedziawszy się o nowonarodzonem dziecięciu w Betleem, pochodzącem z rodu Dawidowego, a obawiając się aby nie

pozbawiło go w przyszłości panowania, wysłał uzbrojonych siepaczy i kazał w całem państwie swojem wymordować wszystkie niemowlęta płci męskiej, aż do lat dwóch.

Otóż znakomity malarz historyczny Leon Cogniet przedstawił na płótnie ten krwawy i rozdzierający dramat. W całym obrazie dostatecznym jest widok jednej tylko matki, kryjącej się w kącie muru z ukochanem dzieckiem, przed nadchodzącemi zbójcami, aby wywołać straszliwy i wzruszający efekt.

ŚLADY ŻYCIA.

LII.

Tyle życia ile w czynie.

Z artykułów pomieszczonych w „Kłosach“ z miesiąca grudnia dwa zasługują na baczniejszą uwagę ze strony czytelników. Jeden z nich ciągnący się jeszcze od N. 541 mieści w sobie opowieść o „kandydaturze duńskiej w czasie bezkrólewia po Michale Wiśniowieckim;“ rzecz na zupełnie nowych opartą źródłach. Kandydatura ta nie powiodła się wprawdzie, gdyż jak wiadomo królem obrany został Jan Sobieski; w każdym jednak razie istniała i miała nawet pewne szanse powodzenia. Kandydatem do korony polskiej obok wielu innych był ks. Jerzy, drugi syn króla duńskiego Fryderyka III. Odznaczał się on urodą, ale pod względem umysłowym wielce był upośledzony. Inicyjatywa tej kandydatury, o ile się domyśla niepodpisany autor artykułu w „Kłosach“ wyszła ze strony Eleonory, wdowy po królu Michale. Władysław Rej, marszałek jej nadworny, był główną sprężyną w przeprowadzaniu tej myśli a pośrednikiem, który nadzwyczaj ważną w sprawie naszej odegrał rolę był jubiler Jan Mikołaj Krondahl. On to negocyjował listownie (z powodu choroby) z dworem duńskim, dopóki kandydatura nie weszła na drogę dyplomatyczną. Wymagania ze strony polskiej były wielkie a mianowicie: 1) przyjęcie przez księcia Jerzego religii katolickiej; 2) 20,000 ludzi wojsk posiłkowych we wszelkich wojnach rzeczypospolitej polskiej; 3) dwa milijony talarów dla rzeczypospolitej; 4) 100,000 dukatów a może jeszcze dodatkowo 100,000 talarów dla szlachty; 5) pismo polecające księcia duńskiego senatorom i rzeczypospolitej ze strony cesarskiej; 6) usunięcie przeszkód, stawianych może kandydaturze duńskiej ze strony domów książęcych w Hanowerze, Luneburgu, Holsztynii, Hesyi i Saksonii.

Brak decyzyi w rządzie duńskim, brak zabiegliwości ze strony posła duńskiego, Schestadta a przedewszystkiem oszczędność w wydatkach i skromność w przyjmowaniu szlachty rozchwiały projekta, które skądinąd nie należały bynajmniej do mrzonek. Polska nie wiele na tem straciła.

Drugim artykułem jest rzecz o „Bośnii i Hercegowinie“ przez p. Bronisława Grabowskiego na podstawie niemieckich i słowiańskich źródeł spisana. Zarówno jeograficzne jak i etnograficzne szczegóły starannie zebrane a opowiedziane stylem jasnym, zalecają tę pracę, która jest tak na dobie w czasach obecnych. Stosunek poturczonych pleminów (t. j. szlachty) do raii (gminu) wybornie został skreślony. Streszczenie pięknej pieśni o „Omerze i Merunie“ zasługuje na szczególną wdzięczność ze strony lubowników poezyi. Gdyby jeszcze stosunki ekonomiczne znalazły były uwzględnienie, artykuł p. Grabowskiego niczby nie pozostawiał do życzenia: mielibyśmy bowiem dokładnie, jak dla nas, skreślony obraz dzisiejszego stanu tych interesujących krain.

* * *

Jako przyczynek do kwestyi ludowego kredytu i lichwy, pozwalamy sobie przytoczyć kilka ciekawych szczegółów odnoszących się do położenia kredytu dla małej własności ziemskiej w Królestwie. Bardzo potężną dźwignią są tu kasy wkładowo-pożyczkowe, istniejące przy naszych gminach. W gub. np. Kieleckiej, w r. 1874 istniało 43 takich kass, a kapitał ich zakładowy wynosił rs. 45,457 k. 15; ponieważ zaś złożono na procent wkładów na rs. 55,245 k. 28, a bezprocentowych było rs. 1,355 k. 30, obracano więc kapitałem 102,057 k. 73 a cały obrot w r. 1874 wynosił rs. 314,973 k. 14. Najmniejszy z wkładów wynosił kop., 95, największy 3,000 rs. Pożyczek udzielono 12,207, z tych na zastaw własności 11,687 a za poręczeniem 1,030 rs. Cyfry te dotykalnie przekonywają, pisze Gazeta Kielecka, jaki udział biorą włościanie w otwartym dla nich kredycie, a gdy pomyślimy, że dopiero jedna trzecia część gmin, w gubernii korzysta z takiego ułatwienia, przyjdziemy do przekonania, że skoro i w pozostałych gminach podobne kasy zaprowadzone zostaną, obrót kapitału dojdzie do milijona rubli. Sprawa więc kredytu włościańskiego znajduje się u nas na drodze rozwoju. Jest ona objawem wyrywania się powolnego naszego ludu, z rąk rujnującej lichwy i małomiasteczkowych bankierów. Cyfry te i fakta są wymowne. *Sapienti sat.*

* * *

Rada lekarska uniwersytetu warszawskiego, na posiedzeniu swem z d. 4 b. m. przyznała stopień lekarza (cum eximia laude) p. Władysławowi Cholewińskiemu i stopień lekarza p. Julijuszowi Szczuckiemu.

* * *

Przybyły niedawno do Warszawy utalentowany rzeźbiarz p. Kazimierz Ostrowski, wykonał na jednym medalijonie portrety wielkich myślicieli naszych Kremera i Libelta. Medalijon ten ma być wystawionym niedługo w sali Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

* * *

Na czasie podniósł „Kuryjer Lubelski“ myśl, którą poruszaliśmy już byli kiedyś w „Opiekunie Domowym.“ Mówimy o „biblijotekach szpitalnych“ bardzo nielicznych i bardzo dotąd u nas ubożuchnych. Szpitale nie mają funduszów na zakładanie księgozbiorów podobnych, muszą się więc oglądać na ofiarność ludzi dobrej woli, a ludzie ci łatwo znowu mogą sprawie onej dopomódz. Z końcem roku w wielu domach pozostają kalendarze, książki, komplety pism peryjodycznych it. p., do których jako do starych szpargałów nie przywiązuje się żadnego znaczenia i niszczy się je aby nie zabierały miejsca na próżno. Szpargały otóż podobne ofiarowywane szpitalom zasilałyby korzystnie biblijoteczki szpitalne. Myśl dobra, wykonanie żadnych nie przedstawia trudności, więc też polecamy ją uwadze czytelników „Opiekuna.“

* * *

Dochód z Bazaru w salach redutowych, przyniósł ubogim z górą 4000 rs.

* * *

Pisma codzienne doniosły iż dla ułatwienia i rozszerzenia działalności *kassy pożyczkowej przemysłowców warszawskich* na dotychczasowem właściwem polu, jakiem jest Warszawa, zarząd kassy powziął podobno bardzo praktyczny zamiar, dążący do ułatwienia drobnego kredytu. Dotąd kassa, co wreszcie jest rzeczą bardzo naturalną, miała głównie wyłącznie do czynienia z kupcami, fabrykantami i rzemieślnikami, — słowem z wszelkiego rodzaju przemysłowcami mniej więcej zamożnymi i znanymi. Ubożsi i mniej znani, mniej mogli korzystać z dobrodziejstwa łatwego i taniego kredytu, jaki kassa udziela wprawdzie, ale pod warunkiem złożenia poręczeń dwóch osób, poręczających moralną i materyjalną gwarancyją. Tychże samych warunków wymaga ustawa od osoby samego pożyczającego. Biedny rzemieślnik, mało znany, bardzo często nie mógł dostać i nie starał się nawet o pozyskanie pożyczki z powodu niemożności przekonania o dostateczności tej dwojakiej ewikcyi, co do siebie i poręczycieli. Komitet decydujący w tym przedmiocie nie mógł, rzecz prosta, dawać funduszów kasowych osobom nieznanym, i za poręczeniem ludzi również sobie nieznanych, a na zebranie w tej mierze informacyi także nie miał środka. Otóż aby temu zaradzić, jest projekt uproszenia pewnej liczby osób zamieszkałych w pewnych dzielnicach miasta, aby przyjęły na siebie obowiązek udzielania w tej mierze swojej opinii. W tym celu miasto całe podzielone zostanie na działy, i do każdego z nich wyznaczone zostaną po dwie osoby tamże zamieszkałe do udzielania opinii. Każdy chcący pozyskać pożyczkę do wysokości rs. 100, za ich pośrednictwem o to będzie mógł się starać, a takie żądanie pożyczki zakomunikowane bezwłocznie zostanie kassie z informacyją o osobach pożyczającego i poręczycieli. Innowacyja ta bezwarunkowo będzie ważnym krokiem zrobionym w rozwoju kassy, która nietylko sama na tem zyska przez powiększenie swoich obrotów, ale zarazem przyczyni się do podniesienia dobrobytu klassy rzemieślniczej, dla której głównie ta manipulacyja ma być wprowadzoną.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Mściwój i Swanhilda, tragedyja w 5-ciu aktach przez Bronisława Grabowskiego. We Lwowie, nakładem księgarni polskiej, 1876. 8-ka. str. 100, cena kopiejek 60.

Autor kreślił epizod z dziejów Słowian polabskich i trzeba przyznać, że w utworze swym dobrał wiele rysów i sytuacyj, charakteryzu-

jących jasno ówczesny stosunek Słowian do Niemców. Na tle tem rozwija się pasmo dramatycznej osnowy tragedyi. Główny bohater jej Mściwój działa z początku pod wpływem dwóch sił psychicznych: 1) miłości, 2) obrażonej dumy osobistej i narodowej. Następnie występuje nowa, wroga dwóm poprzednim siła: uczucie religijne i wyrzuty sumienia. Widzimy go z początku czułym kochankiem niemieckiej dziewicy; następnie srogim mścicielem za obelgę a wreszcie skruszonym pokutnikiem. Zarzucić tu przedewszystkiem musimy panu G. wadę, której ulegają wszyscy prawie młodzi autorzy tragedyj i dramatów historycznych; a mianowicie zbytnie rozwielmożnienie się sfery erotycznej, która stanowi najpotężniejszy motor działalności bohatera utworu. W ogóle postać ta mało wysnuwa z własnego ducha sił i walki psychicznej. Ma on niby być mężem, który pojmował potrzebę chrześcijaństwa, lecz nie mógł wyjść z błędnego koła, jakie przedstawiał naówczas stosunek dwóch wrogich narodów. Każda walka polityczna stawała się zarazem religijną. Ów tedy pierwiastek religijny rzeczywiście odnosi tryumf i gnębi Mściwoja. Nie widzimy tu jednakże czynnej prawdziwie walki z wrogiemi żywiołami dramatycznemi. Bohater tragedyi idzie głównie za prądem niespodzianych wpływów zewnętrznych. Staje się zaciętym wrogiem Niemców, bo go zelżyli; pokutuje później dobrowolnie, bo go do tego skłania kochanka.

Wybitnie scharakteryzowaną postacią jest brat Mściwoja, Mieczysław. Jest to młodzian wrzący, nie nawidzi gorąco Niemców, szydzi ze wszystkiego. Wątpimy atoli, czy na łonie prostoty pogańskiej podobna postać wyrodzić się mogła. Prócz tego charakterystyka Mieczysława uwydatnia się po większej części w pięknie wydeklamowanych słowach; w akcyi zbyt mało przyjmuje on udziału.

Bohaterka tragedyi Swanhilda jest świętą prawie dziewicą chrześcijańską. Sfera jej działalności dramatycznej polega tylko na jednym fakcie. Szlachetna ta kobieta wolała złożyć wszystkie swe ziemskie pragnienia na ołtarzu ofiary i poświęcić się wyłącznie Bogu, aniżeli wyjść za nienawistnego młodziana. W jedynej, prawdziwie dramatycznej scenie spotkania się z kochankiem w murach klasztornych, w piersi Swanhildy zawrzała walka potężna, którą jednak autor dosyć słabo zacieniował.

Z innych postaci zasługuje na uwagę mściwy Bruno, zagadkowy trochę Dytrych i nędzny służalec Winhard. Reszta stanowi blade tło utworu. Szkoda, że autor powyższych postaci nie wprowadził wybitniej do akcyi, coby znacznie zwiększyło słabą dramatyczność utworu.

Mimo wskazanych wyżej usterek nie można odmówić utworowi pana Grabowskiego i pewnych przymiotów. Wiele tu uroku poetycznego, wiele zręcznie pochwyconych rysów charakterystycznych; wiersz gładki, potoczysty, w wielu miejscach kipiący silnym ogniem uczucia. W ogóle autor wykazał niemałą znajomość materyjału historycznego, nie umiał go jednakże ująć w formę prawdziwie dramatyczną i stworzyć prawdziwie wybitne i potężne postaci. Ze względu jednakże, że p. G. wszedł po raz pierwszy na drogę, na której najlepsze talenta poetyczne w początkach się potykają, żywimy niepłonną nadzieję, że w przyszłości stworzy nam prawdziwą tragedyję historyczną. *A. P.*

Poezyje S. Poznań 1875. 2 tomy 1-szy str. 158; 1-gi str. 146.

Przypominacie może sobie ten ustęp historyi biblijnej, w którym jest mowa o „krzu gorejącym“ na pustyni. Mojżesz pasąc trzodę Jetry, przybliża się do niego z trwogą i serca drżeniem, przypatruje się temu cudownemu zjawisku i słyszy głos gromowy z „krza“ wychodzący... Do tego „krza gorejącego“ podobnym jest talent poetycki pana Leonarda S. I sam poeta o tem natrąca w „Widziadłach“ i z rozważania utworów jego przyjść można do takiego porównania. Zjawisko dziwne, niezwykłe a zarazem mistyczne, tajemnic pełne. Jako takie nie trwa ono długo, ale ponawiać się może od czasu do czasu.

Chcąc sprawdzić to spostrzeżenie, przebieżmy w krótkości poetycki zawód p. S.

Pierwsze jego poezyje, bardzo zresztą nieliczne, sięgają roku 1857 i są obrazem wrażeń, których poeta doznawał w artystycznej po Europie wędrówce. Drezno, Paryż, Florencyja wraz ze swojemi skarbami sztuki natchnęły parę strof, które oprócz wyższego nastroju ducha i zręcznego wierszowania, nic więcej nie zdradzają. Tu cechy poetyckiego talentu nie uwydatniły się a nawet nie zarysowały się jeszcze. Strofy z tego czasu mogły być utworem wierszopisa o jakimkolwiek talencie, o jakimkolwiek kierunku duchowym.

W dwa lata potem 1859, w „Piśmie zbiorowem wileńskiem“ pomieścił pan S. poemat p. n. *Satyry*. We wstępie do nich zostając pod niedawnem wrażeniem podróży do Rzymu, maluje torem Krasińskiego i Zaleskiego zepsucie starej Romy, przepowiada świetną dla Słowiańszczyzny przyszłość. W satyrze I, zatytułowanej „Pycha“ objawia się już wyraźnie kierunek poetyczny i myślowy poety. Pan S. powstaje przeciw pysze rozumu, przeciw zarozumiałości nauki i sztuki. W obrazie usiłowań Hoene Wrońskiego stara się wykazać marność zaciekań nad zagadką świata. Opisawszy smutną, bolesną chwilę śmierci reformatora ludzkości, temi kończy słowy:

Tak skończył umysł pychą zatruty,
Co przez pół wieku myślą tytana
Rwał się ku niebu do skał przykuty...
I praca mędrca światu nieznana...
A kto śladami jego się rzuci
I obietnicom mistrza da wiarę,
Wkrótce spostrzeże, iż goni marę
I zawiedziony *złorzecząc, wróci.*

Podobnież przeklina poeta tych mistrzów sztuki, którzy tworzą groźne, zimne postaci albo też rozdzierają piersi słuchaczów dysonansem rozpaczy, gdyż:

...biada temu, czyje natchnienie
W piersiach pokrewnych szerzy zniszczenie!
Kto serca bliźnich żądzą rozpala,
Kto wiarę ludu w gruzy obala,
Kto z braćmi *dzieli zgrzytania swoje,*
Walkę, upadek i niepokoje!

Poeta zaleca natomiast pokorę, ofiarność, ducha poświęcenia i „przeczyste, rzewne, potulne i święte“ utwory Fra Angelica.

W dwu drugich satyrach, które znajdujemy w obecnem wydaniu, znajdują się mniej wyraziste obrazy niektórych zdrożności społecznych. W jednej przedstawia potęgę mas ludowych, ale zarazem wyrzuca im egoizm, brak miłości bratniej; w drugiej, powstaje przeciw faryzeuszom i świętoszkom, tej „brudnej kurzawie Bożego domu.“ Wsteczność pojęć, wypływająca z owoczesnego położenia rzeczy, przebija się tutaj w hurtownem potępieniu „Zachodu.“

Spojrzmy na Zachód! Węzły tych ludów
Dawno im w piersiach ostygłych pękły;
Skarłowaciały dźwignie ich trudów
I samolubstwem dusze nabrzękły...
Pośród kamieni, żelaza, pary
W blasku znikomym gazu i złota,
Gdzież ich naddziadów rycerska cnota?
Gdzie chrześcijański charakter stary?

Lecz te wyskoki zesmutniałej duszy poetyckiej, nie rażą zbytecznie w obec wielu myśli podniosłych, jakkolwiek zakrytych gazą symboliki i sennemi kolumnami wierszy. Bądź co bądź jesteśmy całem sercem za poetą, kiedy woła:

Pełno plam czarnych w zbiorowym duchu
Gdy rdza *próżności* siły mu strawi,
Gdy pierścień każdy w bratnim łańcuchu!
Odrębne cele sobie postawi!

Jeżeli zamiast „próżności“ postawimy „prywatę,“ niepodobna nam będzie nie uznać całej prawdy w tej strofce.

W „Satyrze“ atoli nie buchnęły jeszcze płomienie z „krza gorejącego;“ buchnęły one dopiero w „Widziadłach“ z tegoż samego roku co i „Satyra.“ P. S. opowiada tutaj ciernisty, bolesny zawód poety, któremu „rdza smutku od kolebki w serce się wpiła.“

Biedny! jak anioł grobów śród zabaw i gwaru
Stawał w dziecinnym gronie i spojrzeniem smutnem,
Głębokiem, strasznem, pełnem *zaklętego czaru*
Zarażał tłum wesoły *milczeniem pokutnem...*

„Pani z Dziecięciem na ręku“ utuliła ten smutek i w modlitwie a śpiewie wskazała mu drogę kojenia „westchnień przebolałej doli.“ Lecz przyszła *nauka* i zbudziwszy wątpliwości okropne, zerwała ogniwa łańcucha, łączącego poetę z niebem...

Wielka ogromem zwalisk, dumna *śmierci trudem*
Myśl zdzierała z praw bożych ideału szaty
I odarte, *liczb marnych potrząsała brudem.*

Zwątpienie ogarnęło umysł i serce poety a „duch nie syty tarzał się w tęsknocie.“ Któż przyszedł z pociechą, kto rozegnał tumany sceptycyzmu? Poezyja „piękna, wzniosła i rzewna jak anioł pamięci.“ Pieśń lunęła strumieniem; ale nie nadługo mogła zapełnić serce spragnione szczęścia. Duch niewiary jak uragan przechodził po duszy, niszcząc i druzgocząc jej pragnienia i ideały. Poecie brakło miłości. I ta się zjawiła; lecz czyż podniosła poetę? Nie! Zanurzyła go tylko w *błocie!* Podniósł się poeta z tego kału i rozejrzał po niezmierzonych łanach czynu. Powinność stanęła mu przed oczyma i przed sumieniem. Zapalił się duch poety do czynów: „duch wieków wyszlachetniał“ przed nim i po nowych zaczął kroczyć drogach. Lecz i tu „duch przeklęty“ splugawił święte zamiary. Pycha ze sztandarem sławy zabiegła drogę poecie, któ-

y z pogardą spojrzawszy na tłumy „gdzie wiek ...ały na *garstkę zdobywa się marną,*“ zatopił ...ię znowu w marzeniach i w wyobraźni rozrządza wolą narodu.

W tem, powiewna i blada z wieńcem róż na czole,
Z berłem w palcach ostygłych, wyciosanem z lodu
W płaszczu białym jak zimą posrebrzone pole
Śmierć wionęła na duszę kolumnami chłodu.

I zlekka włosem kruczym wieszczą skroń musnęła,
Dłonie śnieżne na serce położyła wrzące,
Ustami kamiennemi oczy przycisnęła.

I zgasło życie młode, jak światełko drżące...
W proch ziemi poświęconej wsiąkły łzy gorące,
Pierś pod krzyżem po walce płonnej odpoczęła.

To historyja wielu dusz gorących, namiętnych a słabych i niedouczonych, ani w szkole nauki, ani w szkole życia. Żal nam ich serdeczny, bolejemy nad ich stratą jak się boleje nad przedwcześnie zwiędłą różą. Nie dąb to powalony przed nami piorunem lub połączonemi siłami ludzkiemi; ale kwiatek nikły i biedny, choć piękny. Pan S. w 12 sonetach cudnie odwzorował ten żywot jednodniowy, a do charakterystyki dawniejszej przydał jeszcze szczyptę zwątpienia nie w cele święte i wielkie, ale w siły jednostki utalentowanej.

W rok potem wyszły okruchy poematu „Z życia,“ które zjednały panu S. rozgłos powszechny. Założenie poematu, idea główna, budzenie do czynu społecznego znalazło oddźwięk w sercach młodzieży, wśród której różnorodne fermentowały pierwiastki. Były to czasy, kiedy wieszcze narodu częścią do grobu się pokładli, częścią zaniemieli już to na zawsze, już to na czas długi. Poeci „minorum gentium“ nie wystawiali swych płodów na pokaz tłuszczy. Najzdolniejszy z nich Syrokomla dogorywał na łożu boleści.

Potężny i wyrobiony już głos pana S. odbrzmiał sympatycznie i z serdeczną przyjęty został gościnnością. Nie brakło naturalnie i słów nagany; ale w ogólności przyznawano mu talent niepospolity. Rozżalony jedną z krytyk poeta w drugiem wydaniu poematu pomieścił przedmowę, w której prozą stanowisko swoje określił. „Prometejowe tortury, powiada tu, zrywającego się do prawd najwyższych ducha godniejsze są pieśni niż kwilenie kochanków lub szczebiotanie słowika. Szamotanie się tłumu rozognionego myślą społeczną przemawia mi do serca daleko potężniej, niż muzyka niewinna majowego poranku“... Jak widzimy, jest to energiczny protest przeciw zacieśnianiu zakresu poezyi do czułych i rzewnych westchnień i pieni. A jakkolwiek moglibyśmy przypomnieć panu S. jego zachwalanie „przeczystych, rzewnych, potulnych i świętych“ fresków Fra Angelica; wolimy jednak widzieć w tem postęp jedynie ducha i rozszerzenie horyzontu poetyckiego. ...oniec końców bowiem i freski owe nie wyrażały jednostkowego, egoistycznego uczucia, ale aspiracyje mas całych, były zatem wyrazem czynu w pewnym ograniczonym zakresie.

Zresztą przekonania dawniejsze pana S. pozostają te same, uzupełniają się tylko i zaokrąglają. Przedstawiciel nauki abstrakcyjnej, nie związanej z życiem *Omega* pokutuje za pychę rozumu w szpitalu obłąkanych, a *Ugo* jego uczeń dopiero wskutek nagłego zetknięcia się z rezultatami drogi, po której postępował, porzuca sfery nadniebne i wspiera ziemskie działania Ludmira, przedstawiciela mas i czynu społecznego. Do spełnienia tego ostatniego, przyczynia się również poeta, co wzgardził gruchaniem miłosnem i niewieściemi wdziękami. Natomiast ginie w obłąkaniu dusza czuła, rzewna, oddana miłości jedynie niepojmująca, ani energii Ludmira ani, uniesień poety Henryka.... Słusznie zarzucano panu S...., że w tem odrodzeniu społecznem nie naznaczył właściwego dla kobiety miejsca. Ewa bowiem, tak zmienna i z tak różnorodnych pierwiastków złożona wietrznica, posiadająca w głębi serca jakieś skarby ukryte, ukazuje się nam tylko epizodycznie. Najwięcej w niej uwydatniona zalotność i chwiejność rozbujałej myśli. Później widzimy przychodzącą do szpitala obłąkanych, by błagać o przebaczenie Adama, którego nie kochając zaślubić chciała i przez to ducha jego w mrok śmierci pogrążyła. W końcu rzuca kwiaty na bohaterów i płonie rumieńcem na wspomnienie Henryka. Czyż to jej może nadać znaczenie nawet w tak nieobrobionym szkicu, jakim są „okruchy poematu „Z życia?“

W ogóle biorąc, jakkolwiek idea poematu tego była piękna i wzniosła nawet, choć bynajmniej nie nowa, przyznać musimy, że samo obrobienie nie sprawia w nas zadowolnienia estetycznego. Być może, nie wina w tem autora, ale okoliczności; ale w każdym razie rozważając poemat w takim stanie, w jakim go mamy przed sobą, widzimy w nim nie gmach artystyczny, ale lepiankę. W lepiance tej pali się ogień święty, to prawda; ale jej budowa nie nabiera przez to artystycznych kształtów. Brak regularności, brak jednomiernego uwydatnienia wszystkich główniejszych postaci, niektóre części zupełnie chybione (np. sceny w szpitalu obłąkanych), każą nam patrzeć na te „okruchy“ jako na zabytek dziejowy bardzo ważny, któremu jednakże nie przyświeca gwiazda świetnej przyszłości.

Z dwu lat następnych mamy zaledwie dwa króciutkie wierszyki i „fragment powieści.“ W jednym z wierszów przedstawia poeta walkę złego pierwiastku z dobrym i zaznacza zwycięztwo dobrego; w drugim (do narzeczonej) słyszymy po raz pierwszy u p. S. wyrażenie uśmiechu i szczęścia. Lecz w tymże samym roku słyszymy już zgrzyt rozpaczy i przekleństwa miotane na miłość i na kobiety. Mówimy o „Fragmencie powieści,“ który jakkolwiek wydany dopiero 1869 r., był napisany, jak się obecnie z daty pod tym poematem podpisanej dowiadujemy, o wiele dawniej, bo r. 1862. We fragmencie tym opisuje poeta miłość Leona, studenta medycyny, guwernera czy korepetytora do Mani, miłość szaloną, namiętną, chuć raczej zmysłową, którą chce wychłostać biczem furyi i pochodnią hańby piekielnej wyświecić. Perypecyj tego szału czy tej miłości opowiadać nie będę; nie przedstawiają one cech wybitnych i tylko pod wpływem żywego słowa i obrazowania na umysł czytelnika działają. Chcąc streszczać, potrzebaby przepisywać. Zresztą sam poeta nie bardzo dba o malowidło szczegółów; oto np. jak najważniejsze tej historyi chwile opisuje:

Czy jest milszego co nad majową podróż z ko- [chanką?...
Słuchajcie: *Byszów* — noc — pocałunek pierwszy [na ganku.
Chodorków — kilka słów: „Leosiu mój“ — „Ma- [niu serdeczna,“
Berdyczów — łzy i gniew, pojednanie i miłość [wieczna.
O parę mil — utarczka znów i rozpacz ostateczna,
Zgryzota, żal, wieczorny upał, i chłód o poranku,
Milutki dąs, westchnienie, śmiech, rozmowa nie- [dorzeczna,
Tupnięcie nóżką. Wstyd i łzy i „kocham“ bez- [ustanku.

Poeta gardził i kochał, „sam z sobą w dziwnej rozterce.“ Rzecz się skończyła „dolą gorszą niż śmierć.“

Jest to poemat w rodzaju Byrona (Don Juan) Pełno w nim osobistych spraw, sympatyj i antypatyj, pełno obrazków przecudnych imyśli wzniosłych, jak nie mniej pełno miału i kwasu egoistycznego. Wiersz długi 15-zgłoskowy nadaje trochę prozaicznej dykcyi, zresztą bardzo poetycznej.

W tym poemacie wykroczył S... przeciw regule własnej wyrażonej w satyrze, bo podzielił z braćmi „zgrzytanie swoje, walkę, upadek i niepokoje.“ Nie mamy mu tego tak dalece za złe, bo nikt świętym nie jest; a ponieważ znajdujemy grunt szlachetny, nie zważmy na osty, które na nim rosną. Dla charakterystyki poety podnieść tu musimy parę szczegółów. Wspomnieliśmy, że w tym poemacie pan S. wrogo jest dla płci pięknej usposobiony.

Krytyków swoich traktuje pan S. pogardliwie, a na zarzut mistycyzmu w poprzednich utworach tak odpowiada:

Dość już mistykiem być... choć raz Kaszewskiego [rozbroję.
Nowożytny ów Grek, od trawienia klasyków senny
Mówi, żem sfinks i gniewa się na poezyje moje...
Szczęściem na ludzi gniew pospoilcie bywam ka- [mienny,

Zaufanie w sobie, egoizm rozpasanej imaginacyi wkłada w ustęp pana S. wyrazy pychy, tak niegdyś surowo potępianej:

Alboć i ja... Co chwila z powieści mojej odmętu
Jak rybki z głębi wód wynurzają się dziewcząt [twarze...
Ha! nie ma co!... choć mi wstyd, lecz powiem bez [wykrętu,
Że tyleż jestem wart, co i wszyscy nasi pisarze...

Zaiste gdyby p. S. rozpoczął był zawód swój od tego fragmentu, nigdyby tej wziętości nie uzyskał, jaką rzeczywiście posiadł.

Po tym fragmencie nastąpiły lata ciszy poetyckiej, cierpień i smutku... Na nowo odzywa się p. S. dopiero w 1868 r. kilku lirycznemi wylewami uczuć różnorodnych. Zwątpienie, gorycz, myśl samobójstwa, rozpaczliwe nad stanem społecznym rozpamiętywania, obudzona ufność w losy przyszłe i zadanie poety dźwięczały na przemian, na strunach teorbanu. Jest w tym zbiorku kilka cudnych pereł lirycznych, prawdziwą poezyją świecących; jest też i nowe a raczej odnowione credo poetyczne:

Jeżeli chcesz być wieszczem bratnich ciżb,
Więc rzuć gruchania ckliwe, mądrość liczb,
Zdawkowych poziom wyobrażeń
A stań się słowem wielkich wrażeń,
Sumieniem w ciemny wpływającem gmin
Pamięcią żywą bohaterskich zdarzeń
I wiarą uzbrojoną w czyn... (*Rada poecie*)

Podobnym duchem natchniona jest pieśń „Do liryków dzisiejszych.“ Lecz obok pięknych i silnych, są też słabe szychowe utwory, w których jednostronność połączyła się z ciasnotą poglądu, np. „Dział pieśni,“ gdzie autor nie pomny na to, co się dzieje, potępia stulecie obecne w słowach przypominających nieokrzesane barbarzyństwa wieki.

Z większych utworów tego okresu odszczególnia się „Graf Jarosz“ nastrojem i barwą przypominający „fragment powieści“ a opowiadający o miłostkach znudzonego grafa z cyganką Diwą i o zemście tejże. Wiersz piękny i energiczny jest największą tego utworu zaletą.

Obraz spółczesnego ducha i działalności poety byłby niezupełny a w porównaniu z przeszłością blady, gdybyśmy choć mimochodem nie wspomnieli o najnowszym utworze, o *dramacie*, który wprawdzie nie wypełnia warunków scenicznych, ale jako poemat walczy o lepsze z okruchami „Z życia.“ A walczy z nadzieją a raczej pewnością zwycięstwa. Grunt realny, na którym się poeta oparł, poruszenie uczuć powszechnych, wyborne odmalowanie kilku charakterów, wiersz silny i poprawny, styl poetyczny jak rzadko, nadają poematowi temu pierwszeństwo przed wszystkiemi dotychczasowemi. Słabych jego stron nie uwydatniamy, ponieważ i silnych nie mogliśmy szczegółowo przedstawić.

Oceniając w ogólności działalność p. S. nie chcemy go porównywać z innemi tejże samej epoki; gdyż takie zestawienia przy niedokończonym zawodzie poetyckim płonnemi się okazują. Wolimy więc powiedzieć, że p. S. posiada i fantazyję artystyczną w wysokim stopniu i przekonanie o wzniosłem powołaniu poety i panowanie nad językiem i stylem. Gdyby jeszcze dodał do tego lepiej wyrobione pojęcia o sprawach społeczeństwa, niż to było w dniach jego młodości, gdyby zdał sobie jasną sprawę ze znaczenia nauki w rzeczach społecznych, gdyby się z umysłu nie zaniedbał w wersyfikacyi i języku, miałby wszystkie zalety, których potrzebuje poeta, ażeby wywrzeć znaczny wpływ na pokolenie sobie spółczesne.

Słowa te podyktowało nam uczucie serdecznej życzliwości i czci dla talentu poetyckiego p. S. Jeżeliśmy wypowiedzieli tu i ówdzie trochę przygorzkie wyrażenie, jest to dowodem że nie bierzemy lekko jego talentu. Mamy prawo spodziewać się po p. Sowińskim dojrzałych owoców poetycznej twórczości i nie wątpimy, że na tej drodze nie wyczerpał jeszcze zasobów swoich. Gdybyśmy lekceważyli jego zdolności, sąd nasz wypadłby o wiele łagodniej, gdyż nie lubimy dręczyć słabiuchnych. Ale gdzie idzie o człowieka, który może mieć istotny wpływ na społeczeństwo i bezwątpienia miał go już dawniej, tam wszelkie pobłażanie byłoby ubliżeniem jego talentowi.

Dr P. Chmielowski.

Z dziennika psyhologa. Wrażenia, uwagi i spostrzeżenia w ciągu dziesięciu lat spisane przez *Julijana Ochorowicza.* Warszawa, 1875 roku w 8-ce str. 244.

„Książka niniejsza nie wielu nauczy, ale powinna wielu pobudzić do nauki. Niesystematyczność jej formy wynagradza prawda życiowa, ponieważ i sam ten pamiętnik może posłużyć uważnemu czytelnikowi do spostrzeżeń nad rozwojem myśli autora i przebiegiem postępów, jeśli się jakie okażą.“

Słowa te wypowiedziane przez samego autora we wstępie do dzieła, wybornie określają jego wartość i doniosłość. Jakoż w samej rzeczy książka ta nie tylko, że niejednego niczego nie nauczy, ale owszem zamącić może w jego słabej głowinie. Mózg jego bezustannie wysilać się będzie, aby zapamiętać i jako tako powiązać z sobą tyle różnorodnych przedmiotów, nasuwających się mu pod postacią uwag, dorywczych myśli, wyciągów z głośniejszych autorów, często wprost przeciwne głoszących zasady, wreszcie wszystkich ogólnych napomknień o okolicznościach, pod wpływem których autor pisał swój pamiętnik. Pomimo chronologicznego jego porządku, trudno mu będzie właściwie ocenić myśli wygłoszone przez młodzieńca, który szkoły ukończył, pilnego słuchacza wykładów uniwersyteckich, autora znanych kilku prac filozoficznych, a w końcu redaktora, prelegenta i profesora. Nadto sam tytuł książki, jako zbyt poważny odstraszy każdego, dla którego zastanawianie się, myślenie jest najcięższą pracą.

A przecież jest to pamiętnik tak ciekawy, tak urozmaicony, tak przystępnie i bez żadnej pretensyi napisany, że z prawdziwą przyjemnością i ciągłem zajęciem przepatrujemy jego stronice, na które rzucono takie mnóstwo myśli; naturalnie są tam drobiazgi małego znaczenia, ale są też i prawdziwe perły. O ile z nich korzystać będzie psychologija, a raczej psycholog, przesądzać nie chcemy, to wszakże pewna, że pamiętnik ten cały nieocenionym będzie materyjałem dla każdego, kto zajmie się przedstawieniem stopniowego rozwoju działalności pana Ochorowicza na polu naukowem.

Tam znajdujemy niejako genezę, głoszonych przez autora zasad bądź w książkach, bądź z katedry. Czytane książki, przytaczane z nich wyjątki, aforyzmy rzucane w najlepszej wierze, przekonywają nas, że pan O. sumiennie i wytrwale szukał prawdy, i dla zdobycia jej nie zaniechał żadnego ze środków, któremi mógł rozporządzać w danym czasie i miejscu.

W każdym razie publikacyja pana O. jest pewnego rodzaju nowością w naszej literaturze, a chociaż „Dziennika psychologa“ nie myślimy porównywać ze znanemi całemu światu „Confessions J. J. Rouseau'a, wszelako podobnej spowiedzi przyznajemy niemałą pożyteczność, tak dla samego jej autora, jako też dla czytelników. Słusznie postąpił sobie pan O. że pominął szczegóły, dotyczące zbliska tak jego samego, jako też innych osób, gdyż z całego układu książki i jej treści, przekonywamy się, że miał na celu jedynie naukę.

J. Pracki.

ROZMAITOSCI.

— Rada pedagogiczna progimnazyjum pińczowskiego ogłosiła, iż z summy 134 rs. 91 k. ofiarowanej na rzecz niezamożnych uczniów użyto: na kupno odzieży i bielizny dla 4 biednych uczniów 60 rs. kop. 66, wniesiono opłatę za prawo słuchania nauk za 10 prawdziwie biednych uczniów 57 rs., kupiono książek za 2 rs. 25 k., wydano biednemu uczniowi wsparcie w kwocie 15 rubli.

— Niedawno młody król hiszpański obchodził 18-tą rocznicę swego urodzenia a wkrótce obchodzić będzie rocznicę swego wstąpienia na tron Karola V. Położenie jego znacznie się polepszyło w ciągu roku. Powstanie karlistowskie bądź co bądź dogorywa, najlepsi jenerałowie nawet, zbiegli już z tonącego okrętu pretendenta. Wewnętrzna walka stronnictw straciła niebezpieczną dla młodego monarchy cechę i stronnictwa te po większej części ugrupowały się koło niego. Prawda, że są to wszystko rezultaty dość małe, ale zawsze świadczą o postępie i młody król mógłby nawet dość spokojnie patrzeć w przyszłość, gdyby nie chmury, zebrane od tak dawna nad wyspą Kubą.

OD REDAKCYI.

W nadchodzącym roku 1876, **„Opiekun Domowy“** wychodzić będzie pod tą samą redakcyją, w tym samym zakresie i duchu, jak dotąd.

Celem uniknienia zwłoki w odbiorze pierwszych numerów z przyszłego kwartału, upraszamy Prenumeratorów tak dawniejszych, jako też nowo pragnących za pisać się, o jak najśpieszniejsze nadsełanie zamówień; od tego bowiem zależy możność uczynienia zadosyć wszystkim żądaniom.

Zarazem zwracamy uwagę Szan. Prenumeratorów z prowincyi, że opierając się na dotychczasowem doświadczeniu, jako najdogodniejszą i najpewniejszą drogę odnawiania przedpłaty zalecić możemy jedynie przesełanie takowej bez niczyjego pośrednictwa, wprost do kantoru drukarni J. Korzeniewskiego, ulica St-Jerska Nr. 12.

Przedpłata wynosi

w WARSZAWIE:

Rocznie	**Rsr.**	**6**	**kop.**	**—**
Półrocznie	**„**	**3**	**„**	**—**
Kwartalnie	**„**	**1**	**„**	**50**
Miesięcznie	**„**	**—**	**„**	**50**

na PROWINCYI i w CESARSTWIE

Rocznie	**Rsr.**	**8**
Półrocznie	**„**	**4**
Kwartalnie	**„**	**2**

Prenumeratorzy nadsyłający kop[illegible] mieć będą przesłany kalendarz **„Nad[illegible]ślanin“** na rok 1876. Przesyłający na[illegible]żność za tuzin rs. 1 kop. [illegible]ztów przesyłki nie ponoszą.

Дозволено Цензурою. Варшава 18 (30) Декабря 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. KORZENIEWSKI. Redaktor HENRYK PERZYŃSKI.